Rajzyntasza

Jednoaktówki po śląsku

RAJZYNTASZA

Jednoaktówki po śląsku

RAJZYNTASZA

Jednoaktówki po śląsku

iMAGO PUBLIC RELATIONS

Instytucja Kultury
KATOWICE
Miasto Ogrodów

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Projekt okładki:
Katarzyna Kępa

Realizacja:
Stapis Katowice

Typografia i dtp:
Wojciech Grzegorzyca

Korekta:
Grażyna Kwiek

Uwaga: w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

ISBN 978–83–63304–98–0

Wszelkie prawa zastrzeżone.
© Copyright by Imago Public Relations
oraz Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów
Katowice 2013

SPIS TREŚCI

SOFT POWER W JEDNYM AKCIE 7
Rafał Czechowski

TEST 9
Ingmar Villqist

NOTATKI JURORA (O SZTUKACH – ZGODNIE – NAGRODZONYCH) 11
Piotr Zaczkowski

RÓŻNE DROGI PROWADZĄ DO JEDNOAKTÓWKI 15
Waldemar Szymczyk

RAJZYNTASZA 21
Roman Kocur

WOJNA DOMOWO 28
Marcin Szewczyk

CZI DNI S ŻYWOTA OŁBERSZTAJGRA POZORA 37
Roman Gatys

SYNEK Z GITAROM 43
Alina Moś-Kerger

MATKA BOSKA NA KIPISZU 55
Jerzy Frelich

ALOJZ 70
Krystian Kokot

MANTEL OD STARZIKA 77
Lidia Michalska

JAK TO NA SOMPIYRWYJ BYŁO 84
Joanna Sodzawiczny

HALUCKI 91
Maciej Sojka

ROŁZA 99
Grzegorz Sztoler

HEBAMA I DIOBOŁ 114
Roman Weber

SOFT POWER W JEDNYM AKCIE

Rafał Czechowski, dyrektor zarządzający Imago Public Relations

Wydaniu drugiego zbioru jednoaktówek po śląsku towarzyszy myśl, że kiedy się robi coś takiego po raz drugi, to jest z tym jednak drobny kłopot. Bo to wszak już nie premiera – tą był „Bysuch s Reichu. Jednoaktówki po śląsku" – spowita w nerwową ekscytację oczekiwania na reakcję odbiorców, a jeszcze nie tradycja, uzasadniona prawem złotej triady. Szczęśliwie antologia „Rajzyntasza. Jednoaktówki po śląsku" ukazuje się wraz ze zwieńczeniem trzeciej już edycji konkursu na dramat w jednym akcie napisany gwarą. Można więc chyba mówić o zalążku tradycji, w której kolejne odsłony konkursu będą przynosiły tomiki z najlepszymi jednoaktówkami z roku poprzedzającego.

Tak więc trzymając w ręku gotowych do druku 11 najlepszych dramatów nadesłanych w 2012 roku na konkurs „Jednoaktówka po śląsku", organizowany od początku przez katowicką firmę Imago Public Relations, „Gazetę Wyborczą" i Instytucję Kultury Katowice – Miasto Ogrodów, według pomysłu znanego dramaturga Ingmara Villqista, zastanawiam się, co to oznacza dla odbiorców tej publikacji i – dmuchając na zimne – szukam odpowiedzi najtrudniejszej do przyjęcia z perspektywy organizatorów konkursu i wydawców książki.

Przy odrobinie złej woli można się tu doszukiwać narzędzia kształtowania społecznej świadomości w określonym celu. Powszechnie wszak wiadomo, że kultura – znacznie bardziej dyskretnie, ale nie mniej skutecznie niż konflikty zbrojne czy zabiegi dyplomatyczne – może służyć za oręż pragnącym zmienić obraz jakiegoś kawałka rzeczywistości. To wszak wytwory kultury (nic to, że masowej) jako tzw. soft power od lat konserwują np. globalną dominację Stanów Zjednoczonych. Dlaczego więc – przy zachowaniu wszelkich proporcji – konkurs „Jednoaktówka po śląsku" i towarzyszące mu w postaci wydawnictwa zbiory najlepszych zgłoszonych na ten konkurs dramatów miałyby być wolne od ukrytych zamiarów?

Cóż, otwarcie trzeba przyznać, że choć zamiar jest, to ukryty bardzo niestarannie. Nie jest nim jednak „użycie" kultury na rzecz jakiejkolwiek ideologii. Już we wstępie do pierwszej antologii napisałem, że to, co jest tak godne uznania – także, ale nie przede wszystkim z perspektywy „speców od wizerunku" – to fantazja, kreatywność, umiejętność snucia opowieści i budowania napięcia, sprawność posługiwania się słowem (trudnym tak w zapisie, jak i w odczycie słowem gwary) i myślenia obrazem. Umiejętność zaciekawiania i wywoływania emocji…

Temu właśnie ma służyć zarówno konkurs, jak i jego kolejny owoc w postaci tej książki. I mam nadzieję, że służy dobrze.

Ingmar Villqist, dramaturg, reżyser teatralny i filmowy

Mroźną zimą 2010 roku w katowickim kinie Rialto odbywała się kolejna uroczystość wręczenia „Cegieł z Gazety". Od lat, jako członek Kapituły, nominuję do tej nagrody przede wszystkim śląskich plastyków, którzy zazwyczaj jej nie otrzymują. Tym razem nominowałem Kazimierza Kutza. Co prawda nie malarza, ani grafika, ale wybitnego reżysera filmowego i postać dla śląskiej kultury tak ważną, że jak nikt na „Cegłę z Gazety" zasługującą. Stałem tam wtedy, w sali Rialta, pośród tłumu gości i usilnie zastanawiałem się, co z sobą dalej począć. I w ten wieczór, i tak w ogóle. Właśnie wróciłem po trzech latach dyrekcji z Teatru Miejskiego w Gdyni i moja przyszłość prywatna i zawodowa na Śląsku była równie zamglona, jak ulice centrum Katowic w ten mroźny wieczór. Od dwóch lat katowicka „Gazeta Wyborcza" wydawała specjalny numer bożonarodzeniowy, na który m.in. składały się teksty pisarzy i artystów w jakiś sposób związanych twórczością ze Śląskiem. Zaproszono także i mnie do uczestnictwa w tych świątecznych numerach „Gazety" moimi jednoaktówkami. Opublikowałem rok po roku dwie: „Cicha noc" i „Stille Nacht", wprowadzając w nie śląskie, chorzowskie, katowickie wątki i każąc moim bohaterom opowiadać swoje historie po części w języku śląskim. Wyszedłem na papierosa i zacząłem się zastanawiać, co by było, gdyby rozpisać konkurs na napisanie małej formy dramaturgicznej, właśnie jednoaktówki po śląsku. Śmieszne, pewnie nierealne, pomyślałem wtedy. Wróciłem do gości i od razu opowiedziałem Waldemarowi Szymczykowi, redaktorowi „Gazety Wyborczej", o swoim pomyśle. Spodobał mu się i umówiliśmy się za kilka dni, jak zawsze, kiedy coś knujemy, w kawiarni hotelu Monopol. Omówiliśmy założenia przyszłego konkursu, szczegóły organizacyjne, nasze oczekiwania, wątpliwości, a było takich wtedy sporo. Czy ktoś w ogóle odpowie na nasz apel, czy i kto pisze na Śląsku po śląsku jednoaktówki, czy nie wystawimy się na śmieszność i używanie wszystkich lokalnych strażników jedynie słusznej, genealogicznej linii kulturowo-językowej, organizując coś, co nie spotka się z żadnym odzewem. Czy nie okaże się, że jeśli nawet ktoś przyśle na konkurs taki tekst (przewidywaliśmy wtedy, że będą to góra trzy osoby), to pozyskamy teksty amatorskie, grafomańskie, kabaretowe, jakieś wice czy dowcipasy. Może bezpieczniej byłoby rozpisać konkurs na poezję po śląsku, prozę, jakieś opowiadania, wspomnienia, pamiętniki, piosenki. Ale po co taki konkurs? Kto chce, to pisze. Ukazują się przecież pisane po śląsku powieści, tomiki poezji, wspomnienia. Ale pisanych dziś dramatów, a zwłaszcza kameralnych jednoaktówek nie znam.

I kolejna ważna wątpliwość – dla kogo ewentualni autorzy napiszą te jednoaktówki? Kto je będzie czytać poza jury konkursu i czy będzie szansa na hipotetyczne

ich wystawienie w przyszłości na jakiejś scenie? Dlaczego właśnie jednoaktówki po śląsku? Bo to język/gwara/dialekt/etnodialekt, jak zwał, tak zwał, którym Ślązacy posługują się od stuleci i który tworzy przestrzeń ich wzajemnej komunikacji emocjonalnej. Dlaczego więc nie spróbować takiej formy testu dla pisanego śląskiego. Sam piszę dramaty, wystawiam je, publikuję, reżyseruję w teatrze scenicznym, radiowym od lat. A więc nikomu nie zrobię krzywdy, oceniając to, co napisze. Rozumiem i czytam partyturę dialogów. Sam próbowałem pisać po śląsku (wspólnie z Adamem Sikorą) scenariusz filmu fabularnego „Ewa" i samodzielnie scenariusz, a później adaptację teatralną „Miłości w Königshütte". Wspólnie z „Gazetą Wyborczą" i Imago Public Relations rozpisaliśmy konkurs na jednoaktówki po śląsku. Określiliśmy zakres tematyki (tylko nie dowcipasy), objętość i czekamy. A co będzie, jak nikt się nie odezwie? No to wtedy wycofamy się chyłkiem. I tak było. Termin zamknięcia konkursu się zbliża, a nadesłano jeden, potem dwa teksty. Oj, niedobrze… I w końcu, dosłownie na dwa dni przed zamknięciem terminu nadsyłania prac, sypnęło jednoaktówkami. Nadesłano prawie czterdzieści prac. Dorwałem się do tych jednoaktówek z ciekawością, ale i z obawą, co tam też przeczytam. Zaskoczenie i zdziwienie. Potem radość i satysfakcja, że się udało. Jest co czytać. Z tekstu na tekst moje zdziwienie rosło. Kim są ci autorzy – amatorami pisarzami? Ludźmi, którzy piszą zawodowo, czy amatorami, którzy sięgnęli po pióro, by pierwszy raz napisać coś we własnym języku? Skąd te pytania? Dlatego że poziom tych prac, sposób formułowania dialogów, opowiadania przez nie historii, budowania postaci, ich przeszłości, dzisiejszości świadczył tak o predyspozycjach do posługiwania się dialogami (w kilku przypadkach odkryłem prawdziwe talenty), jak i umiejętności wykorzystania języka śląskiego do konstruowania bogatej przestrzeni emocjonalnej w tworzonych historiach właściwej dla „prawdziwego języka" takiego czy innego. Więc jak to jest z tym śląskim? Czy to bełkot, charkotliwe półsłówka, którymi porozumiewają się Ślązacy, sami nie wiedząc, w jaki sposób i na jaki temat? Czy to na wpół migowy szyfr dźwiękowy rodzimych neandertalczyków, czy naprawdę język, nasz śląski język? Nic tak nie zweryfikuje takich pytań jak próba literatury. Kwartalnik „Fabryka Silesia" swój numer 2/2013 w całości poświęcił szukaniu odpowiedzi na pytanie: Czy istnieje już literatura w języku śląskim? To dziś chyba najważniejsza pozycja na rynku wydawniczym podsumowująca opinie za i przeciw. Nasz konkurs wpisuje się w tę debatę. Dramat, jednoaktówka to forma literacka, pisana dla realizacji scenicznej, ale także do czytania. I jako taka musi unieść wszystkie oczekiwania właściwe dla tekstu literackiego. Pisałem już wielokrotnie o konkursowych jednoaktówkach, starając się przedstawić swoje odczucia po ich lekturze. Teraz czas na to, by czytelnicy tego drugiego już zbioru nagrodzonych tekstów i wszyscy zainteresowani rodzącą się śląską dramaturgią wyrobili sobie własne zdanie i ocenili twórczość prezentowanych w tym zbiorze autorów.

NOTATKI JURORA (O SZTUKACH – ZGODNIE – NAGRODZONYCH)

Piotr Zaczkowski, dyrektor Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów

[**„Czi dni s żywota ołbersztajgra Pozora" Romana Gatysa**] [zdecydowanie najciekawsza jednoaktówka konkursu.] …pełna silnej, podgorączkowej mitologii. …prawdziwej. …w tle chop Skarbek i baba Silesia. …akcja rozgrywa się w „pierwszy i drugi dziyń Polokow i Rusow na Gornym Ślonsku" – na grubie. …wojna zatoczyła krzywe koło, górników, bezpiecznych we wnętrzu matki Ziemi, oczekuje inna męka i nieznane wcześniej wygnanie. …ołbersztajger Johann Pozor i hajer Hajnel Krupa inicjują dialog. …jeszcze nie wiedzą lub nie wierzą, że „Rusy do nos wlezom" – kiedy już wiadomo, że Rosjanie weszli, jeszcze wierzą: „Ino wypucujymy ta Samarkanda i pojadymy nazot do dom". …w finale „Ołbersztajger Pozor i Hajer Krupa włażom do szole i jadom na wiyrch". …baśń śląska o tym, że przeznaczenie nie deleguje posłańców ani bogów przebranych za śmiertelników, ale zwyczajny los – obok ściany, którą wybuch dynamitu zamieni w sen, marzenie, dziwny, głęboki spokój.

[**„Wojna domowo" Marcina Szewczyka**] …rodzice: Ewald i Agnieszka – nazywana niekiedy Neszkom – mają kole czterdziestki. …ich synowie liczą sobie po dwadzieścia dwa lata i są bliźniakami. …Maks jest polskim patriotą, Jerzy (Jorg) – śląskim autonomistą. …kiedy wchodzą na scenę, to „oba na sia durch wrzeszczom" – wrzeszczą czarno-białymi podziałami i wypisami z radykalnych gazet. …pewne wytłumaczenie rodzinnej wojny znajduje się, kiedy Ewald i Agnieszka sięgają do zasobów pamięci: „Oni zawsze jakoś chcieli się odróżniać. Kożde bliźnioki chodziły tak samo pooblykane, tym samym się interesowali, a nasi? Za pierona nie chcieli mieć tych samych lontów, każdy inkszy friz, inksze szkoły, inksze komple, na koniec jedyn poszoł studiować mechanika do Katowic, a drugi dziynnikarstwo do Warszawy aż". …braciszkowie po krótkim pobycie na scenie udali się na marsze poparcia lub sprzeciwu – oddzielnie i osobno. …Ewald wyjawił żonie sekrety rodzinne – że starzik Alojz miał brata Johana – i że obaj zginęli w powstaniu – i po przeciwnych stronach. …już wiadomo, że to memento – wyczerpała się farsa – …telewizja poinformuje, że w starciu „przedstawicieli śląskich organizacji z radykalnie prawicowymi kontrmanifestantami" zginęła jedna osoba – całe dalsze czekanie zamknie nierozpoznany numer telefonu, który wyświetli się na ekranie komórki Agnieszki – ona, na kurtynie, „wylynkano odbiyro".

[**„Rajzyntasza" Romana Kocura**] śląski kryminał – Gryjta (gryfno babka) wita męża Jerzika, kery znaloz przy hasioku rajzyntasza. …torba jest pełna pieniędzy. …w tle słychać syreny policyjne. …dodatkowa postać – o imieniu Edek – siedzi w szafie (wszystko dlatego, że Jerzik za wcześnie wrócił z pracy). …akcja płynie wartko, a przyspiesza, kiedy do mieszkania wpada nieznajomy mężczyzna („czorne galoty, szaket, a na łebie czopka z daszkym") i energicznie domaga się zwrotu rajzyntaszy. …ale od czego temperament farsy – we wnętrzu tapczanu są dwie (w pewnym sensie podróżne) sprężyny akcji – torby, a nieznajomy sięga nie po tę, której szuka. … Gryjta z Jerzikiem mają zostać zapędzeni do piwnicy, ale sytuację ratuje (czy raczej komplikuje) Edek, obezwładniając intruza. …anegdota przestępcza ponownie stała się rodzinna (Jerzik: „To łon tu siedzioł w szranku cały czos? Ty bestusz się pytołaś, czymu żech przyszoł wcześni z roboty?".) …Edek zdecydowanie bardziej napalił się na forsę niż na Gryjtę, która w żądzy rewanżu wyeliminowała go („uderzając w głowa") z akcji. …finał jest odpowiednio farsowy i tragiczny (z wykorzystaniem pistoletu), a przede wszystkim pouczający, bo wszystkim bohaterom pieniądze mocno zaszkodziły.

[zapiski o jednoaktówkach wyróżnionych]

[**„Alojz" Krystiana Kokota**] …epickie wprawki, notatki do reportażu czy raczej fantazji reportażowej. …dialog uruchamia strumień przeszłości, ale, niestety, mniej zgrabnie portretuje osoby (skleja ludzi ze spiżu, bez krwi i bez życia – jak gdyby już od pierwszych kwestii pisano pożegnanie).

[**„Jak to na sompiyrwyj było" Joanny Sodzawiczny**] …zabawna opowiastka o Adamie i Ewie, co ich „Ponboczek złonaczył", ale trąci nieco stylizacjami (przekładaniem całego świata na modłę śląską) Marka Szołtyska. …zagadki w tym za mało, a rubaszność bohaterów baśni w niewielkim stopniu dopełniona próbą indywidualizacji.

[**„Matka Boska na kipiszu" Jerzego Frelicha**] chór (internowanych) i głosy (klawiszów) zapowiadają dramat. …wprowadzają didaskalia – czyste i literackie („W środku stół, nakryty kocem, na nim porozrzucane papiery". …rzecz dzieje się w celi „w obozie internowanych w Uhercach". …już po pierwszych didaskaliach i wstępnych dialogach „Joker opuszczo cela". …i później także, co pewien czas, dla efektu, ktoś wychodzi z celi i do niej wraca, więc Uherce są w sumie obrotowe i właściwie fajne.

[**„Hebama i dioboł" („na motywach bery opolskiej i tąż gwarą napisanej") Romana Webera**] …anegdota trochę gruba, ale zabawna (bo zmuszanie mężczyzn do rodzenia nie jest zbyt powszechne w przekazach ludowych). …jedno z bliźniąt „wylazło bez zadek" Ernesta (lub Ernsta), co zmusi ewentualnych realizatorów do scenicznych wirtuozerii (bo przecież nie teatralnej pruderii). …ale warto zapamiętać jedną z sentencji: „BAŚCIK: Ucciwe to ludzie bywają, robota nigdy".

[**„Mantel od starzika" Lidii Michalskiej**] …jedna z wielu jednoaktówek rozgrywających się w rodzinie wielopokoleniowej – nie wiem, czy to szczególnie śląskie, czy po prostu tak łatwiej (w każdym języku i w każdej początkującej narracji dramaturgicznej). …bardzo wysoko w mojej hierarchii – raz, że rekwizyt jako bohater to klasyczny chwyt farsy, dwa, że ów rekwizyt bardzo wyraźnie portretuje (zmarłego) właściciela – …przeszłość się objawia i bardzo zgrabnie dialoguje z teraźniejszością – …zręcznie także, krok po kroku, odsłania się zagadka. …ciekawie wprowadza się także kolejne postaci (a jedność miejsca i czasu z sensem pozwala zmieniać przynajmniej czasy), przy tym dobra pointa – i bez lamentu.

[**„Rołza" (według „Duchów wojny" Alojzego Lyski) Grzegorza Sztolera**] niezłe otwarcie – i niezłe wprowadzenie (wtargnięcie Radlingerki). …jedna historia ludzka i wiele ech – …jeszcze echa wojny, wojen, absolutu i przeznaczenia. …może nawet za dużo przeznaczenia, a za mało Elzy. …i za wiele, bez opamiętania, liryki zmieszanej z trendami epickimi.

[**„Halucki" Macieja Sojki**] rzecz dzieje się (w pierwszej połowie lat 90. minionego stulecia) w familoku „na Cwajce" w Chorzowie. …dialog małżonków – Kocybiny i Jorga – szybko przeszedł ze wspominek o niepowtarzalnie smakowitych kiełbasach do narzekań na trudności lokalowe. …przełamać może owe trudności możliwa przeprowadzka do mieszkania w bloku – wątpliwości Jorga są ornitologiczne: „(…) co z gołymbiami zrobia? Kaj je wraża? Chyba niy bydom na balkonie?". …od niezdolnej do wyciszenia awantury ratuje wejście sąsiadki (osadniczki w sąsiednim familoku) Korpysowej. …i nagła zmiana tonu, bo Jorg jest widmem, bo go nie ma, bo zginął pół roku wcześniej podczas tąpnięcia w kopalni. …na szczęście Korpysowa udzieli pierwszej pomocy mentalnej, a mały Paulek kiedyś wróci z podwórka. …uspokojona choć trochę Kocybina przyjmie zaproszenie do sąsiadki na telewizję („na Polonii leci serial brazylijski").

[**„Synek z gitarom" Aliny Moś-Kerger**] mit popkultury – Karin Stanek – opowiedziany gwarą, poprzez historię uzależnionego wyznawcy. …dramat naiwnego zapatrzenia i zasłuchania o ciekawej ekspozycji i sprawnej kontynuacji – ale nadmiernie, z każdą chwilą, wierny podziałom malowanym na smutno, z nazbyt sprawną i oczywistą nostalgią. …w tle szablonu dostrzeżemy Bytom albo Śląsk, albo lokalność – ale przypominającą bardziej zakurzone trofeum literackie, a mniej podniesione nagle, nieoczekiwane paciorki czasu.

[i jeszcze ciekawe jednoaktówki spoza werdyktu]

[**„Larmo skuli Richata Szimy" Ryszarda Stoeckera**] sztuczka zabawna, bo środowiskowa – dzieje się bowiem w redakcji kyjzeblatu w Hindenburgu (czyli w pokoju pracowników „Głosu Zabrza"). …w powietrzu zapach politycznej odwilży, ale w redakcji,

jak drzewiej bywało, „dwie otwarte butelki jarzębiaku". …Szima (powstaniec śląski) jest bohaterem tekstu prasowego „Młodszego redaktora Pawła". …tekst był dosyć odważny („Naczelny lotoł do kumitetu jak do kibla z laniem w nocy") i mocno poczytny. …trochę rozprawia się o tym tekście, trochę o świecie, gdzie żyją „Wiluś" Szewczyk, „Decymber" lub kapelmistrz, który przeszedł szlak bojowy od Afrika Korps po Filharmonię Górniczą w Zabrzu (…chwaloną przez samego Waldorffa). …popijaną gawędę przerywa wtargnięcie niejakiego Tuberoka, z gazety zakładowej kopalni w Rokitnicy, który wniósł na scenę kolejne dwie butelki i w pierwszym finale nazwał Pawła (z wzajemnością) ciulem. …w finale drugim spoza sceny zapukała (natarczywie) milicja obywatelska, a wszystko „skuli tego Szimy", bo redakcja była pod obserwacją czujnych organów.

[**„Wilijo do kwadratu" Leszka Sobieraja**] zaczyna się od rozważań o złożoności natury męskiej – wszystko dlatego, że Lucek przeżywa kryzys wieku średniego („To je coś takigo, że chłopom zaczyno prać na dekel", wyjaśniła matka małoletniemu Frankowi). …kolejny problem do omówienia jest natury kulinarnej. …Pyjter dostał od Romka książkę „Warzić je leko" i zainspirowany dziełem zapisał się na kurs gotowania. …jednym z trudniejszych momentów w życiu rodziny było pitraszenie na niedzielny obiad suszi, co Julka słusznie zidentyfikowała jako „Jydzynie od Japanerów". …moment kryzysowy nadszedł jednak dopiero z chwilą, kiedy Pyjter postanowił wziąć odpowiedzialność za przygotowanie wigilii. …całkiem sensowne zwierciadło, w którym przeglądają się w miarę zrozumiałe dylematy aktualnej (i nadal wielopokoleniowej) egzystencji śląskiej.

[**„Smowiny" Jerzego Komora**] Gizelka oczekuje na zaręczyny, tytułowe „smowiny". …wszystko za przyczyną pomieszania dawnego z dzisiejszym i dzięki nader czynnemu udziałowi w castingu, na którym poznała Władka (gorola). …już przy układaniu menu są problemy, gdyż Gizelka optuje za chińskim jadłem (przeciw krupniokom) i za szkocką (przeciw winku „ze wieprzków"). …z nagła problemy potężnieją, gdyż Gizelka przypomina sobie studia (we Wrocławiu) i powszechnie znaną maksymę Cycerona, który postawił fundamentalne pytania o to, czym byłoby ludzkie życie bez kultury. …problemy kulturowe zwiększy wejście Selwika, na co dzień (w Chorzowie, na Pniokach) ojca Gizelki. …zaletą frywoli jednoaktowej jest zabawny dialog, niejako na poczekaniu przekładający obce pojęcia na śląską mowę i mentalność. …uznając za celową kontynuację projektu Katowice – Miasto Ogrodów, najważniejsze odnajdziemy na końcu – Władek, student robotyki we Wrocławiu, będzie chciał po dyplomie poszukać pracy na Śląsku („bo tu się kroją perspektywy"). …a Gizelka Śląska na pewno nauczy.

RÓŻNE DROGI PROWADZĄ DO JEDNOAKTÓWKI

Waldemar Szymczyk, dyrektor wydawniczy Imago Public Relations

Górnik, który po przejściu na emeryturę postanowił zmienić swoje życie, kolekcjoner śląskiej porcelany i miłośnik średniowiecznego rycerstwa – różne drogi prowadzą do finału konkursu na jednoaktówkę po śląsku.

– Kiedy dowiedziałem się od znajomego o konkursie, poszedłem do czytelni i poprosiłem o jakąś jednoaktówkę. Nie wiedziałem, jaką ta forma ma strukturę, jak pisać dialogi. Dostałem „Dwa teatry" Jerzego Szaniawskiego i siadłem do komputera. Co chwilę zerkałem do książki i tak powstała moja pierwsza w życiu jednoaktówka. Pisałem ją pięć i pół godziny – opowiada Roman Gatys, zwycięzca pierwszej i drugiej edycji konkursu na jednoaktówkę po śląsku.

– Skąd wziąłem temat? Z opowieści sąsiadów, znajomych… To zlepki prawdziwych historii. Jednoaktówka z 2011 roku „Bysuch s Reichu" opowiadała o wujku z Niemiec, który przyjechał po 25 latach na Śląsk, żeby odebrać schowany w rodzinnym domu Ritterkreuz, najwyższe odznaczenie wojskowe III Rzeszy. Wydawałoby się, że historia jest fikcyjna, bo przecież niektórzy historycy uważają, iż żaden Ślązak nie mógł dostać tak wysokiego niemieckiego odznaczenia. Wiem jednak, że byli tacy, którzy Ritterkreuz otrzymywali (m.in. w Tarnowskich Górach) – wyjaśnia pan Roman.

Z kolei jednoaktówka na konkurs w roku 2012 „Czi dni s żywota ołbersztajgra Pozora" opowiadała o kluczowych dla Śląska trzech dniach w styczniu 1945 roku, kiedy odchodzili stąd Niemcy i wkraczali Rosjanie. – Pozor to prawdziwe nazwisko. Był sztygarem, miał volkslistę – „dwójkę". Został aresztowany latem 1945 roku. Osadzono go w obozie w Mysłowicach, pracował przymusowo w tamtejszej kopalni. Zmarł z wycieńczenia w grudniu 1945 roku. Jego żona opowiadała, że od pasa w dół ciało miał wyżarte do kości. Pracował bowiem w mocno zasolonej wodzie, która spowodowała takie obrażenia – mówi Gatys.

Pierwszym recenzentem jednoaktówek Romana Gatysa jest mama. Doskonale zna język śląski, więc robi poprawki, koryguje nieścisłości. – Po opublikowaniu moich jednoaktówek kilka osób mówiło mi: „To nie tak się pisze, nie tak się to godo". Ale piszę w takim języku, jakiego nauczyłem się w domu i na placu – broni się Gatys.

Pan Roman na co dzień jest znanym kolekcjonerem porcelany śląskiej. Ma już 2,5 tysiąca eksponatów. Napisał wspólnie z żoną Ireną 10 książek na temat swoich zbiorów i różnych manufaktur porcelany. – Kiedy poznałem żonę, postanowiliśmy kupić 12 sztuk porcelany dla gości. Każda była inna. Z czasem zaczęliśmy czytać o porcelanie

i okazało się, że połowa naszego kompletu pochodzi ze śląskich fabryk, a połowa nie. Sprzedaliśmy więc tę drugą połowę i kupiliśmy śląskie wyroby. Tak zaczęła się nasza kolekcja – wyjaśnia Gatys.

Zbiory pochodzą z targów staroci, np. w Bytomiu, ale ostatnio coraz częściej z USA. Okazuje się, że wyroby śląskich fabryk były bardzo modne za oceanem w latach 20. XX wieku i dzisiaj w internecie na eBayu można trafić na prawdziwe perełki.

Roman Gatys urodził się w Tarnowskich Górach, ale od dzieciństwa mieszka w Nakle. Kiedy miał 22 lata, wyjechał do rodziny w Niemczech (w 1989 roku). Skończył studia w Hanowerze (archiwistykę), tam wziął ślub cywilny, ale kościelny już w Polsce, bo zdecydowali się z żoną wrócić na Śląsk. Założyli Stowarzyszenie Miłośników Śląskiej Porcelany i próbują ją popularyzować. – Ale marzy mi się napisanie dramatu, który można by wystawić na scenie teatralnej. Mam wiele pomysłów, lecz nie za bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Dramat to nie to samo co jednoaktówka: pojawia się więcej postaci, kilka wątków… Jak na przykład pokazać sceny batalistyczne? Ale mam nadzieję, że nauczę się tego– mówi Gatys.

Marcin Szewczyk był jednym z najmłodszych uczestników konkursu na jednoaktówkę po śląsku w 2012 roku. Ma 27 lat. Ukończył historię na Uniwersytecie Śląskim, obecnie pracuje w lombardzie, gdzie jest kierownikiem. Jego pasją jest średniowiecze i literatura fantasy. Od 2004 roku działa w ruchu rycerskim, założył istniejącą od 2006 roku Konfraternię Rycerską Sua Sponte w Pszowie. Jest prezesem Stowarzyszenia Baszta w Wodzisławiu, które składa się z takich jak on pasjonatów średniowiecznego rycerstwa. Chcą wypromować ten zabytek. Organizują pokazy rycerskie, warsztaty sztuk walki, pokazy tańca średniowiecznego, rzemiosła, gry i zabawy dla dzieci. Planują też utworzenie w Wodzisławiu średniowiecznej gwardii miejskiej. Gwardziści ubrani w średniowieczne pancerze, z halabardami będą latem przechadzać się po rynku i pełnić rolę informacji turystyczno-kulturalnej.

O konkursie na jednoaktówkę przeczytał w internetowym wydaniu „Gazety Wyborczej". – Mam łatwość pisania. Pomyślałem, że jednoaktówka powinna mówić o rzeczach aktualnych. Stąd pomysł na sztukę „Wojna domowo". Tematem przewodnim są konflikty wokół śląskości, które zdarzają się nawet wewnątrz rodzin. Jako historyk wiem, że pewne zdarzenia lubią się powtarzać. Sytuację zbliżoną do dzisiejszej mieliśmy już w czasie plebiscytu. Wtedy też podziały przebiegały wewnątrz rodzin. U nas, w Pszowie, cała wieś była za opcją polską, a jeden piekarz za niemiecką. Podniósł ceny chleba, żeby ludzie głosowali za Niemcami, ale ci go pobili. A przecież wcześniej wszyscy żyli w zgodzie – opowiada.

Pan Marcin pierwszy raz pisał jednoaktówkę, ale ma już za sobą próby literackie. Pisał opowiadania fantasy. Przez kilka lat występował także w grupie teatralnej w Pszowie. Po sukcesie jego jednoaktówki (drugie miejsce w konkursie w 2012 roku) sztuką

zainteresowało się Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Regionalnej „Silesia Schola". Chce ją wystawiać w szkołach.

Jednoaktówka Romana Kocura „Rajzyntasza" wywoływała salwy śmiechu podczas finałowego czytania prac konkursowych w teatrze Korez w 2012 roku. Pan Roman zajął trzecie miejsce. – Opisałem historię kryminalną o torbie pełnej pieniędzy pochodzących z napadu na bank. Zajęło mi to trzy dni. Napisałem kawałek, kładłem się spać, nagle dostawałem olśnienia, siadałem i poprawiałem. Powstało w ten sposób cztery-pięć wersji jednoaktówki – wyjaśnia Kocur. Jednak nikomu ze znajomych nie przyznał się, że wysłał pracę na konkurs. Pewnego dnia zadzwonił telefon od znajomego. „Roman, włącz szybko radio! O tobie mówią!". Później pochwaliłem się jeszcze kilku znajomym – mówi.

Przyznaje, że rok wcześniej też startował w konkursie na jednoaktówkę po śląsku, ale jego praca nie została wyróżniona.

Pan Roman ma 54 lata, jest emerytowanym górnikiem. Pracował w kopalni Makoszowy, a potem Guido. Był elektrykiem, awansował na kierownika działu elektrycznego. Dzisiaj prowadzi własną firmę – zajmuje się odbiorami elektrycznymi nowo instalowanych maszyn. – Po przejściu na emeryturę odżyłem. Po 20 latach wróciłem do nauki gry na gitarze. Dzisiaj z kolegą, który gra na klawiszach, mamy zespół bluesowy. Gramy utwory Nalepy, Breakoutu. Piszę też wiersze. Wysyłam je na różne konkursy, ale bez większych sukcesów. Piszę także opowiadania – na razie do szuflady. To historie z mojego życia plus fikcja – wyjaśnia. – Fascynuje mnie też teatr. Często chodzimy z żoną na spektakle w Zabrzu, Katowicach, a nawet jeździmy do Cieszyna – opowiada.

Dobrą znajomość śląskiego wyniósł z domu rodzinnego. Jego dzieci też lubią godać, ale na ogół w domu mówi się po polsku. Kilkanaście lat temu wystartował w jednej z pierwszych edycji konkursu „Ślązak Roku". Wypowiedział po śląsku monolog, jak gonił złodzieja na motorze i miał wypadek. Konkursu jednak nie wygrał.

Pan Roman zamierza pisać jednoaktówki na kolejne konkursy. – Mieszkamy w Zabrzu, ale mamy też domek w Międzybrodziu Bialskim. Lubię to miejsce, bo tam jest cisza. Kiedy jestem sam, siadam do komputera i piszę. Jednoaktówka „Rajzyntasza" to mój pierwszy sukces literacki. Mam nadzieję, że nie ostatni.

JEDNOAKTÓWKI

RAJZYNTASZA

Roman Kocur

Przi zamkniyntyj kurtynie słychać, jak dzwoni dzwonek (taki do drzwi).
Otwiyro się kurtyna i widać izba gościnno.
Niy jest to tako izba do spanio i niy izba, kaj jest kuchnia.
Z lewyj strony jest antryj, a z izby widać jeszcze dwoje drzwi: do kuchni
i do drugi izby. Na środku stoi stół, a przy nim stołki tapicerowane
z oparciym, jak to w izbie gościnnyj. Stół przikryty jest obrusym, na stole
stoi kryształowo misa z owocami i dość wielki wazon z kwiotkami.
Przi jednej ze ścian tapczan, w rogu telewizor, na ścianie pora obrazów.
Widać, że w antryju tyż som jeszcze jakieś drzwi.
Kobiyta, gryfno babka, obleczono w fajny szlafrok, zamyko
drapko szrank (dwudrzwiowy), a potem jedne z otwartych drzwi
w izbie, kaj kątym oka widać, że jest tam nachtcimmer.
W tym czasie otwiyrajom się drzwi do domu i wchodzi mąż
kobiety. Trzimie wielko rajzyntasza i godo do żony:

JERZIK *(mąż)*:
Czymu niy otwiyrosz, Gryjta, jak dzwonia? Jeszcze żeś spała?

GRYJTA *(żona)*:
Niy, niy spałach, yno w szranku żech patrzyła, co to mom dzisiej oblyc, jak pójda na torg. A tyś mioł być dzisiej w robocie dłużyj. Czymu żeś już przziszoł?

JERZIK:
Ja, miało być jeszcze coś do roboty, ale przyszła bezmajś jakoś komisjo i niy chcieli my, żeby się za dużo ludzio krynciło po placu. Patrz, co żech znaloz przy furtce przed naszym domym...

GRYJTA:
No, widza. Rajzyntasza. Ale jak to żeś znaloz? Tako wielko rajzyntasza ktoś by zapomnioł? No bo żeś chyba nie ukrod tyj rajzyntaszy.

JERZIK:
No, co ty tyż godosz, Gryjta, żech ukrod... Stoła przed samom furtkom, przy hasioku, a żodnego kole niyj niy było.

W tle słychać syryny policyjne

JERZIK:

Pójdź, obejrzymy, co w ty rajzyntaszy jest, bo ona pusto niy jest. Siadej, jo otworza.

Gryjta siado na tapczanie, a Jerzik otwiyro rajzyntasza.

Patrz, Gryjta, normalnie yno zawarto na rajfeszlus ta rajzyntasza. Żodnego zomka.

Jerzik otwiyro rajzyntasza tak, że wieko otwiyro się tak do widowni, że niy widać, co jest w środku rajzyntaszy.

JERZIK i GRYJTA *(razym)*:

O Jezu! Pon Bóczku drogi! Piyniyondze!

GRYJTA:

Tela piyniyndzy! Zamykej drapko ta rajzyntasza! Trza jom schować!

JERZIK:

Pieronie jasny! Tela piyniyndzy! Cało tasza! Richtich, trza te piyniyondze schować, ale kaj? Abo może lepi piyrw wyciongnymy piyniyondze z tyj taszy i kajś je domy?

GRYJTA:

Ja, prziniyś yno nasza rajzyntasza z antryju. Jest na wiyrchu w małym szranku pod gipsdekom. A może lepi cało ta tasza kajś schowiymy?

JERZIK:

Dobra, schowiymy jom do szranku! Ale wpiyrw domy trocha piyniyndzy do naszy rajzyntaszy! Ida do antryju!

GRYJTA:

Jerzik, ale jo czuja, że z tego bydzie yno jakoś łostuda. Tela piyniyndzy!

– 1 –

GRYJTA:

Ty, a może na policjo pódymy z tom rajzyntaszom?

Jerzik poszoł do antryju, wloz na stołek i przyniósł rajzyntasza. Ale mniyjszo niż ta, w keryj były te znalezione piyniyondze.

JERZIK:

Coś ty, Gryjta, ogupła! Niy ma co żodnymu godać, yno schować te piyniyondze, a kedyś je udomy, jak bydzie okazjo. Dowej te piyniyondze do tyj naszy taszy. Kule! Ale się nom poszczynściło! Gryjta, ale po leku przekłodej te piyniyondze do naszyj taszy, bo je potargosz!

Gryjta przekłodo drapko piyniyondze z jednyj rajzyntaszy do drugi i cieszy się przy tym…

GRYJTA:

Jerzik! Tela piyniyndzy! Teroz to my mogymy kajś i pojechać, i kupić sie co chcymy…

JERZIK:

Dobra, już zamykej te tasze i chowiymy je do szranku. Nikaj na razie niy pojadymy ani nic niy kupiymy, yno dobrze muszymy to schować.

Jerzik idzie w strona szranku.

GRYJTA *(ze strachym)*:

Niy! Niy do szranku!

JERZIK:

A kaj?

GRYJTA:

Do tapczana!

Jerzik się wrócioł i otwiyro tapczan i tam do skrzini chowie te dwie rajzyntasze. Schowoł obie rajzyntasze do tapczana, do skrzyni na pościel i potym oba usiedli razym na tapczanie. Zaś słychać bez okno syryny policyjne.

JERZIK:

Gryjta! To ta policyjo chyba tak jeździ za tymi piyniyondzami?

GRYJTA:

Niy wiem! Idź yno na dwór i na razie pozamykej brama, a potym my sie zamknymy w doma i żodnymu niy bydymy otwiyrać.

Jerzik wstoł i idzie do antryju, oblyko się i wychodzi z doma. Gryjta, jak yno Jerzik wyszoł, podchodzi drapko do szranku i otwiyro jedne drzwi. I godo do szranku:

GRYJTA:

Edek, siedź tu jeszcze yno, bo widzisz, co się porobiyło dzisioj. Wypuszcza cie, jak yno się uspokoji ta sytuacjo…

Naroz z hukym wlatuje Jerzik ciśniynty ostro przez jakiegoś Niyznajomego chłopa i razym wlatujom do antryju z wielkim larmym. Jerzik jest mocno trzimany przez tego niyznajomego za szkrawikel i niy mo jak się wyswobodzić… Tyn niyznajomy szturcho Jerzika mocno i ciepnoł go o ściana w antryju, a som drapko zamyko drzwi na zomek i keta na drzwiach. Mo obleczone czorne galoty i szaket, a na łebie czopka z daszkym, a bez rynka przeciepniynto tasza. Gryjta zamyko drzwi szranku i zaczyno piszczeć i wrzeszczeć z cały siły i podlatuje do Jerzika, kery się skuloł pod ścianom. Gryjta durch piszczy i wrzeszczy na cały karpyntel.

GRYJTA:

Aaa...a. Pomocy! Ludzie, ratujcie nos. Ludzie! Jerzik, co łon ci zrobioł? Ratunku! Pomocy!!!

– 2–

NIYZNAJOMY:

Cicho babo, bo i ciebie ciepna zaroz na zola!

Gryjta łoroz przestała wrzeszczeć, yno została klynczonco przy Jerziku z otwartom gymbom, cało wystraszono.

NIYZNAJOMY:

Kaj je moja rajzyntasza? Godejcie drapko, abo wos zaroz chyca za łep i dom po gymbie.

JERZIK:

Niy momy żodnyj twoji rajzyntaszy, skond my by jom mieli mieć?

NIYZNAJOMY:

Wzionłeś jom do dom, niy cygoń, chopie. Przeca żech widzioł wszystko! Bołech schowany w hasioku, bo jechała policyjo, ale żech widzioł, żeś jom broł! Ta tasza stoła schowano, yno żeś ty poszoł na hasiok i jom zebroł. A jo niy mogłech wylyść, boby mie mogli widzieć te policjanty. I widziołech, jak żeś z tom taszom wloz do dom. Kaj jest ta moja tasza? Pytom ostatni roz!

JERZIK do GRYJTY:

Jak widzioł, to muszymy mu jom dać.

GRYJTA:

Niy godej, Jerzik, tyś jom znaloz i jest twoja, a niy od tego zbója…

NIYZNAJOMY:

Babo, niy godej za dużo, bo niy chca cie piznonć, ale jak mnie znerwujesz, to jo niy wiym, co zrobia z tobom.

I wrzasnoł z cały siły:

NIYZNAJOMY:

Dowejcie mi ta tasza, bo bydzie z wami źle!!!

JERZIK do GRYJTY:

Dejmy mu ta rajzyntasza, bo on nos zabije…

GRYJTA:

Niy domy! Abo się podzielymy!

NIYZNAJOMY:

Dzielić się z wami niy byda, bo to som moje piyniyondze. Godej babo, kaj ta tasza jest!!! Bo już mi idziesz na nerwy.

Gryjta podnosi się i idzie do tapczana, otwiyro go, a Niyznajomy cały czos jest przy Jerziku i niy widzi, że w tapczanie som dwie rajzyntasze. Gryjta wyciongo ta tasza, kero przyniosł Jerzik i dowo jom Niyznajomymu.

GRYJTA:

Mosz! Tu mosz ta twoja rajzyntasza. Bier jom i som się bier i idź z naszego doma!!!

NIYZNAJOMY:

No! Dobrze, żeś zrobiła babo, żeś mi dała ta tasza. Ale teroz wos musza wsadzić kajś, żebyście niy poszli zaroz na policyjo.

Niyznajomy rozglondo się i widzi, że z antryju som drzwi. Zaglondo tam i widzi, że som tam schody, kere prowadzom do piwnicy.

NIYZNAJOMY:

Pódźcie yno sam! Właźcie tam, do piwnicy!

Gryjta ociongo się z pójściym do antryju i Jerzik tyż niy podnosi się, żeby posuchać polecynio Niyznajomego.

NIYZNAJOMY:

Ruszejcie się, bo niy mom czasu, żeby się z wami cackać!

Obrócony jest tyłym do szranku, jak wyzywo Jerzika i Gryjta, a w tym czasie otwiyrajom się drzwi ze szranku i z niego wyłazi Edek i trzimie w rynku sznurek i skrado się do Niyznajomego…

– 3 –

Jerzik zdziwiony patrzy, co się dzieje za plecami Niyznajomego, a Gryjta zdziwiono kiwo głowom ze złościom i niydowiyrzaniym. Niyznajomy dalej głośno godo, żeby oni poszli do piwnicy, a Edek skrado się i jak już jest blisko Niyznajomego, zarzuco mu sznur za głowa na kark i mocno ścisko. Niyznajomy zaczyno się bronić, ale po jakimś czasie opado ze sił i leży na zoli.

JERZIK:

Ktoś ty jest? Gryjta! Kto to jest??? Widziołech, że wyloz ze szranku!!!

O ty niydobro babo! O ty latawico! To łon tu siedzioł w szranku cały czos? To bestusz się pytołaś, czymu żech przyszoł wcześni z roboty? O ty…

I Jerzik chycioł Gryjtę za szkrawikel i chcioł jom chycić za włosy. Zamachnoł się, ale w tym momyncie Edek chycioł Jerzika za rynka i zaczoł go prać po gymbie. A proł tak mocno, że Jerzik w końcu pod na zola, a jeszcze som się piznoł o rant mebla w antryju i teroz leży w antryju kole Niyznajomego i jego rajzyntaszy.

GRYJTA:

Edek, coś ty zrobioł mojymu Jerzikowi! Ty pieronie jedyn!

EDEK:

Niy godej za dużo, yno pódź, bierymy te tasze i idymy daleko stond. Widziołech, wiela jest tych piyniyndzy i że jeszcze jest drugo tasza w tapczanie. Gryjtko! Pódź, idymy razym z tymi piyniyndzmi. Widzisz, że yno my sami tu zostali…

GRYJTA:

Niy, niy mogymy teroz nikaj iść. Przeca mój chop tu jest i musza z nim tu teroz być. A policjo! Słyszysz, jak jeżdżom cały czos?

Gryjta, kończąc to mówić, bierze rajzyntasza stojonco w antryju przi Niyznajomym i Jerziku i idzie z niom do szranku.

GRYJTA:

Edek, ty lepi idź do dom, bo zaroz tu bydzie wielko chaja, a jo niy chca, żeby ludzie wiedzieli, że my ze sobom trzimymy.

EDEK:

Niy, jo nikaj niy ida bez piyniyndzy. Dowej mi jedna rajzyntasza i pójda. A jak niy, to wezna obie tasze, a ciebie tu zawionża i bydziesz siedziała przy nich, aż ktoś niy przidzie.

GRYJTA:

O ty fałszywcu jedyn! To tak mi przajesz, że chcesz som wzionć piyniyondze, a mie tu zostawić? O, ty niedobry pieronie jedyn!

To godajonc, wziynła blumwaza ze stoła i zamachnyła się na Edka, uderzajonc go w głowa. Edek od razu klapnoł na zola i zostoł leżeć kole Niyznajomego i Jerzika. Gryjta na chwila zatrzymała się nad nimi wszystkimi, popatrzyła, ale zaroz wziynła się do kupy i otwiyro tapczan, wyciongo ta drugo – swoja – rajzyntasza i potym biere obie rajzyntasze i stawio je przy drzwiach w antryju.

GRYJTA *(sama do siebie)*:

No, pierony jedne. Jo teraz mom wszystkie piyniyondze i byda się bawić, jak byda chciała, a niy wy!

Gryjta wychodzi z izby do szlafcimeru, ale nie zamyka za sobom drzwi. A gdy tam już jest, słychać, że coś szuko, bo słychać otwiyranie szuflody, drzwi ze szranku w szlafcimerze. A w tym czasie w antryju ruszo się Niyznajomy i coś mamrocze i siyngo do swoi torby, z którom tu przyszoł… Gryjta wchodzi do izby i mo w rynce taszka i tasza z jakimiś rzeczami wystajoncymi z niyj, co widać, że wszystko brała do taszy na drapko. Potym otwiyro szrank (w kerym był Edek), ale drugie drzwi, i biere mantel na rynka i czopka futrzano, szalik jakiś…

– 4 –

Gryjta, obrócono tyłym do antryju, niy widzi, że Niyznajomy chycioł ta swoja tasza i coś w niyj szuko.

NIYZNAJOMY *(z trudem godo, a z głowy leci mu krew)*:

Widza, że chcesz wzionć moje piyniyondze. A jo żech przeca to wszystko prziszykowoł i zrobioł i tak fest ryzykowoł, że niy dom ci tych piyniyndzy! Ty nawet niy wiysz, jak to jest obrabować bank. Wiela to jest strachu i jak jo się boł, jak żech tyn napad na bank robioł! A teroz bych mioł te piyniyondze ciebie dać za darmo???

GRYJTA:

Co ty godosz? Widza, że ty i tak już niy dosz rady ani stanonć na nogi, to bydzie lepi, jak jo te piyniyondze wezna i pójda stond od wos wszystkich.

I Gryjta, zaaferowano swoimi rzeczami i pakowaniym się z tymi wszystkimi tobołami, niy widziała, że Niyznajomy chce do niej strzylać. Niyznajomy już nic nie odpowiedzioł, yno siyngnoł do tyj swoi taszy i wyciongnoł pistolet. Z trudym wyciongnoł rynka, celując do Gryjty. I strzyloł do ni. Gryjta się wyprostowała, chycioła za serce i padła na zola w antryju kole nich wszystkich. I w tyj samyj chwili Niyznajomy tyż pod zmynczony ostatnim wysiłkym. I tak wszyscy w antryju na zoli leżeli pozabijani jedyn bez drugiygo. I potym była cisza. A potym zgasło światło na scynie. A potym zaś było słychać syryna policyjno i z oddali słychać Głos.

GŁOS:

Dzisiej my znaleźli wszystkie piyniyondze zrabowane z banku, a ci, kerzy to zrobili, tak się wadzili, że sami się pozabijali.

A jak było na richtich, to wy sami yno wiycie.

WOJNA DOMOWO

Marcin Szewczyk

OSOBY:

EWALD – ojciec rodziny, chop po sztyrdziestce.

AGNIESZKA – matka, nazywano też Neszkom, baba kole sztyrdziestki.

MAKS – synek od Ewalda i Agnieszki, 22 lata, brat bliźniok Jerzego, fest krótko ściynte kudły, na lontach mo widoczne elemynty biało-czerwone, zagorzały polski patriota.

JERZY – nazywany też Jorgiym, abo Jorgusiym, synek od Ewalda i Agnieszki, 22 lata, brat bliźniok Maksa, nosi koszulka ze złotym adlerym na modrym tle, zagorzały ślonski autonomista.

MIEJSCE:

Chałupa w Rybniku, izba dziynno.

SCENA I.

Przed załonczonym telewizorem siedzą na tapczanie Ewald i Agnieszka, pijom kawa.

EWALD:

Podziwej sie go, taki mondry chop, a na takim gupim pytaniu polyg.

AGNIESZKA:

Na dyć pisało, że to je historyk, to skond mioł wiedzieć, jaki je inksze miano silnika wysokoprynżnego. A zresztom nie idzie wiedzieć wszyskigo, i tak swoi wygroł.

(słychać trzask dźwiyrzi)

EWALD:

Aha, ale mi sie zdo, że idzie dwóch takich, co se myślom, że wszystko wiedzom. Już słysza tyn butel.

Wlazujom bliźnioki, oba na sia durch wrzeszczom.

MAKS:

Ty sobie wrzeszcz, maszeruj i machaj żółto-niebieskimi wstążkami ile chcesz, tu jest Polska, a nie jakieś niemieckie kresy wschodnie!

JERZY:

Tyś je jakiś blank pociulany, w głowie mosz nasrane, a źle pomiyszane! Co ci za pierdół nawciskali na tych studiach w tych gorolowicach? Jaki kresy wschodni, coś ty zaś usłyszoł od tych swoich łysych kompli z kryminału?

MAKS:

Do kryminału to wy wszyscy powinniście trafić, za działanie na szkodę państwa! Berezy Kartuskiej brakuje! Cholerni separatyści i folksdojcze.

JERZY:

Som żeś je folksdojcz! Już eś zapomnioł, że też mosz raisepass?

MAKS:

Boście mi go sami zrobili! Ale ja się nie dam zniemczyć, paszport przepada w przyszłym roku, a mnie nie przekabaciły żadne wycieczki do tych zaprzedanych wujków i ciotek z Bochum. Jestem Polakiem, a nie jakimś niemieckim faszystą!

JERZY:

Nimieckim ni, ale polskim neonazistom na pewno. Nazywej se to jak chcesz, wszechpolacy, prawdziwi patrioci, kibice Legii, i tak wychodzi to na jedna zdeprawowano banda.

Ewald we złości wali pilotym od telewizora w stół i stowo.

EWALD:

Styknie tej haje! Jak sie wom te studia pokończyły tak sztyjc, a naokoło je w tej chałupie butel! Wyście som bracia? Musicie się sztyndich wadzić? Jo mioł sztyrech braci i dwie siostry, i nigdy takich haji u nas nie było, a jak się przitrefiyło, to fater wciśli poskiym jednymu, drugimu i trzecimu, co był spokój. Wom też by się chyba przidało, yny matka chciała chować bezstresowo.

(dziwo sie na Agnieszka)

EWALD:

Teraz mosz takich dwóch dziyndziołów! Jedyn się wygupio i wszysndzi loce z żółto-modrom fanom, a drugi własno rodzina wyzywo od zdrajców. Za co nas Ponbóczek pokoroł takimi dzieciami?

AGNIESZKA:

A dej pokój już i Ponbóczka w to nie miyszej. Wy też skończcie ryczeć. Maks, dyć my ci tłumaczyli tela razy, że starzik Zefek yno urodziył się w Rajchu, jak jego ojcowie byli na robotach w Bottrop. Nie służył we Wehrmachcie, bo był za młody! A skuli tego urodzynio trefiyła się okazja wyjazdu, to dwajścia lot do zadku ujki i ciotki porobiyli paszporty nimiecki i za robotom pojechali do Rajchu. A ty, Jurek, też skończ podpuszczać Maksa i mu dogadywać.

JERZY:

Muter, godołech wom, żebyście mie nie mianowali „Jurek", bo mi sie nie podobo te gorolski miano. Dyć wszyscy mi już Jorg godajom, yno ty jeszcze durch ni.

MAKS *(szydzi)*:

Ty się Adolf najlepiej nazwij.

JERZY:

A ty się dupni w łeb i idź śpiywać „Rota" na stadion, yny tela je wart tyn cały wasz patriotyzm!

MAKS *(wartko dźwigo rynka, żeby wzionś zamach i piznyonć Jerzego):*

Jo ciebie zaroz wciulom!

JERZY:

Podziwej sie, jak chcesz, to se umisz nawe spomnieć, jako sie po naszymu godo? Widza, że ś ciebie też je istny folksdojcz, rychtyk choby Adolf.

MAKS:

Ty gnoju!

(ciepie się z piynściami na Jerzego, ale chyto go Ewald)

EWALD:

Styknie! Popieprzyło wom się obydwu w głowach?! Do izbów! Już! Każdy do swoi! Koniec tej haje! Starzi a gupcy, a co jedyn to bardzi. Jak mocie nadmiar energie, to sie roboty chyćcie, zamiast skokać jedyn do drugigo jak kokoty!

(sytuacja się uspokajo, synki idom kożdy w inkszo strona, Ewald zico nazot na tapczan)

JERZY:

Mosz szczynści, że cie fater przytrzimali.

MAKS:

Spieprzaj!

(trzaskajom dźwiyrze, najprzód jedne, potym zaroz drugi)

EWALD:

Co za gupieloki dwa, co jedyn to bardzi poczaskany. Jako my to zrobiyli, że my zawczasu nie widzieli, że im się w głowach tak przewraco?

AGNIESZKA:

Padałach ci, żeby ich tak daleko na te studia nie puszczać. Jurek jeszcze w tych Katowicach to pół biydy, z poczontku przijechoł dwa, trzi razy na miesionc, chocioż potym, jak ta robota pochytoł, to też już ni. Ale Maks z tej stolice prawie wcale nas nie odwiydzoł, na świynta yno. Tak to je, jak sie mo kompli z akadymika zamiast ojców.

EWALD:

Oni zawsze jakoś chcieli się odróżniać. Kożde bliźnioki chodziły tak samo pooblykane, tym samym się interesowali. A nasi? Za pierona nie chcieli mieć

tych samych lontów, kożdy inkszy friz, inksze szkoły, inksze komple, na koniec jedyn poszoł studiować mechanika do Katowic, a drugi dziynnikarstwo do Warszawy aż. Jorg, jakby móg toby sie do strzików przekludziył, sztyjc tam chodzi i słucho, jak mu opa bojo, jak za starej piyrwej było. Po naszymu godo tak, że i jo nikiedy nie rozumia, bo taki słowa znejduje, co sie już zapomniało, abo nawet u nas nigdy sie nie godało. A jak yny co nowego pozno, to zaroski leci się opy spytać, co to znaczy.

AGNIESZKA:

Za to Maks się nerwuje, jak do niego po naszymu godosz. Twierdzi, że nie rozumi, że kalyczymy polsko godka, że do niego momy poprawnom polszczyznom mówić, jak w jakim urzyndzie.

EWALD:

A te od niego komple trocha rychtyk jak z kryminału wyglondajom, łysi, pakowni, jeszcze taki ani wojskowe lonty majom, w telewizorze sztyjc takich widać w kominiarkach, a z roztomańtymi pałami jak sie na stadionach pierom miyndzy sobom abo z policjom.

AGNIESZKA:

No i na tych autonomistów też som narwani. Też ich sztyjc wyzywajom, tak jak nasz Maks Jurka. Też co chwila słychać, jak kaj je haja skuli tego. Jo się yny boja, coby Jurek kiedy w dziób nie dostoł, bo sie fest z tym wychylo, a ryczy o tym Ślonsku jak jelyń na rykowisku.

EWALD:

A o Maksa ni mosz strachu? Jo po prowdzie o niego mom wiynksze starani, coby go te komple w te wszyski haje nie wciongły, bo rychtyk wyglondajom jak jaki chachory. Co chwila dyć sie słyszy, jak bele kogo kaj sprali.

(na chwila je cicho)

No nic, teleturniej się skończył. Pierona, ani nie wiym, kery to wygroł skuli tych dwóch gizdów. Ida na dwór, bo trza jeszcze ta trowa zesiyc pod wiela je pogoda.

AGNIESZKA:

Ja, jo też pomału się do kościoła zbiyrom.

Ewald wylazuje, Agnieszka zaczyno się szykować do kościoła, wyciongo lonty, ksionżka do nabożyństw, różaniec, złotek do koszyczka etc. Za chwila wlazuje Maks do izby.

MAKS:

Mamo, ja wychodzę.

AGNIESZKA:

A kaj?

Maks milczy i dziwo sie wymownie na mutra, ta przewraco w końcu

ślypiami i odzywo sie po polsku, ale przesadnie akcyntuje ta godka.

A dokąd idziesz, synu?

MAKS:

Mam spotkanie na placu Wolności, będę wieczorem.

(idzie oblykać szczewiki)

AGNIESZKA:

A na co ci te ciynżki glany, dyć na dworze je ciepło, wszyjscy chodzom w zandalach, a ty nie doś, że w długich galotach, to jeszcze w takich ciynżkich szczewikach bydziesz deptoł.

(po chwili bez odpowiedzi dodowo ze sarkazmym)

AGNIESZKA:

Czopka i rynkawice se jeszcze oblycz.

MAKS:

Mamo, nie mów do mnie po śląsku.

Agnieszka przewraco ślypiami, Maks wylazuje, za nim wylazuje Agnieszka.

SCENA II.

W izbie je Jerzy, szkłodzi po szrankach, szuko czegoś. O stół oprzyto je fana Górnego Ślonska. W końcu Jerzy znejduje bombony, biere konsek czekulady i zjodo. Wlazuje Ewald.

EWALD:

Jużeś ochłodnył, synek?

JERZY:

Foter, dyć jo je cały czas spokojny, to Maks je nawrany jak drift hajcungi.

EWALD:

A ty niewiela myni, Jorguś. Nie umicie ze sobom żyć jak normalni bracia? Coście som razym, to yno swady i haje.

JERZY:

Jo nic wom na to, fater, nie poradza, to on wyży cyni gorolowice niż swój hajmat.

EWALD:

Jorguś, tela razy żech ci godoł, żebyś mi nie dwojoł. Czuja się bezto jak jaki starzik.

JERZY:

Fater, dyć wy sami swoim rodzicom godocie za dwoje, co wom w tym nie pasuje?

(biere fana i szykuje się do wyjścio)

EWALD:

Bo nie tak was my z mamom uczyli. Teraz czasy som inksze, żodyn już tak nie godo dzisiej. A ty kaj zaś idziesz?

JERZY:

Momy marsz bez Rybnik dzisiej, upamiyntniomy ofiary wojny domowej, czy tam powstań ślonskich, jak kto woli godać. Chcymy, żeby na tablicy uhonorować wszyskich, kerzi tam zginyli, a nie yno tych, co byli po polski stronie. Chcecie iś symnom?

EWALD:

Ni synek, kaj jo tam puda. Zresztom Poloki dzisio mecz grajom po połedniu i chca go obejrzeć w telewizorze.

JERZY:

Tym matlangom bydziecie kibicować? By to jeszcze Ruch groł, ale kadra? Już ni ma nic lepszego w tym telewizorze?

EWALD *(nieco prześmiywczo):*

Ni, ni ma. Tak, my ojciec postanowiyli i bydymy dziwać się na tyn mecz.

Jerzy kiwie głowom i wylazuje.

SCENA III.

Wieczór. Ewald dziwo się na mecz, Agnieszka ficuje fusekle.

AGNIESZKA:

Jakiś taki niepokój mom. Już je dziewiyńć, a onych jeszcze ni ma żodnego. Kaj to szli?

EWALD:

Uspokój sie, som dorośli, je dopiyro dziewiyńć, a nie jedna w nocy. Ni ma sie co nerwować, sie wyszumiom na mieście, to może w chałupie nie bydom pajacować. Maks nie wiym kaj poszoł, ale Jorguś je na jakimś marszu powstańców czy kaś. Może przi pomniku za starzików porzyko.

AGNIESZKA:

Starzików? Dyć odymie żodyn nie szoł do powstanio, a od ciebie yno starzik Alojz.

EWALD:

Alojz i Johan.

AGNIESZKA:

Kery to był tyn Johan? Nie pamiyntom nikogo takigo.

EWALD:

Czekej, zaroz ci go pokoża.

(stowo, szuko w szranku czegoś, w końcu wyciongo stare pudło po szczewikach, a ś niego zdjyncia, chwila przeciepuje, w końcu biere jedna fotografia i pokazuje Agnieszce)

To je on, ty ni mogesz go pamiyntać, Neszka, bo jo też go nie znoł.

AGNIESZKA:

Na dyć to je yno bioły krojc.

EWALD:

Tu mosz nazwisko i data, on w powstaniu zostoł, zabiyli go kaś pod Olzom. To był brat od starzika Alojza.

AGNIESZKA:

Nigdy żeś nie godoł, że ci Niymce starzika zaszczelyli.

EWALD:

Niymce ni, Poloki.

AGNIESZKA:

Jako to? Na dyć starzik Alojz po polski stronie szoł do powstanio.

EWALD:

Mosz recht, ale starzik Johan szoł po niymiecki.

AGNIESZKA:

Jako to tak, dwa bracia i sie po przeciwnych stronach szczylali?

EWALD:

Dokładnie. Jak se tak teraz pomyśla, to podług opowieści starzika to on żył ze swoim bratym, ani te nasze dwa dziyńdzioły. Sztyjc się wadziyli! Jak był plebiscyt, to starzik Alojz welowoł za Polokami, a Johan za Niymcami. Ponoć się i poprali skuli tego. Ale też i czas był ponoć taki. Sztyndisz były haje na placu, bo połowa ludzi sam chciała do Polski, drugo połowa do Rajchu. Starzik godali, że niejedyn ojciec i synka z chałupy wyciep. Komuś nawet sam kaś chałupa spolyli, bo welowoł inakszy niż somsiody, ale nie pamiyntom nazwiska.

AGNIESZKA:

A nie godej...

EWALD:

Ja, ja Neszka. Dzisiej Jorguś padoł, że to była wojna domowo, i moge trocha mioł recht. No bo jak inakszy nazwiesz to, co się tukej dzioło?

AGNIESZKA:

Jo se zawsze myślała, że to tak rychtyk Poloki z Niymcami walczyli.

EWALD:

A ty, Neszka, eś je Polka czy Niymka?

AGNIESZKA:

Jo je Ślonzoczka dyć.

EWALD:

Oni też byli Ślonzokami, ale na Ślonsk w plebiscycie nie szło welować. Bestóż się prował synek z ojcym, brat ze bratym, somsiod ze somsiodym.

AGNIESZKA:

Bele by ci nasi tak nie skończyli.

EWALD:

Spokojnie, tam była wojna, a oni sie yny wyzywajom. Ale musza im to powiedzieć obom dwom jak przidom, moge się czego nauczom. Bo potym, jak starzik Alojz prziszli do dom z powstanio i sie dowiedzieli, że Johan umrzył, to sie blank odmiyniyli. Nom też jak godali ta historia, to zawsze wtedy jak my się wadziyli z braćmi. I zawsze przi tym płakali za swoim bratym. Ponoć bez długi lata potym jeździyli na tyn kierchow kaś pod Anabergiym, kaj był Johan pochowany. Ale po wojnie go potym zlikwidowali, żodyn nie wiy, czy przeniyśli, czy kiż piedron. Władza wtedy likwidowała wszysko co niymiecki, bestóż nie było placu na kierchow poległych w powstaniu Niymców. Starzik zawsze godali, że oba z Johanym byli wtedy młodzi i niemożliwie gupcy.

(na chwila je cicho)

AGNIESZKA:

Widza, że mosz przerwa w meczu, to puś mi na chwila na serial.

(Ewald przełanczo kanał)

Spiker telewizyjny (zza kulis): ...Policja opanowuje już sytuację.
Jak mówi rzecznik komendy policji w Opolu, zatrzymano już
pięćdziesiąt trzy osoby podejrzane o udział w tragicznej burdzie.
Nie wiadomo, która strona była jej inicjatorem, obydwie oskarżają siebie nawzajem.

EWALD:

Co to sie uzaś stało?

AGNIESZKA:

Czekej, na dole leci posek.

(czyto napis z telewizora)

W wyniku manifestacji upamiętniających zakończenie III powstania śląskiego doszło w centrum Rybnika do starcia manifestujących przedstawicieli śląskich organizacji z radykalnie prawicowymi kontrmanifestantami. W brutalnej burdzie zginęła jedna osoba, czternaścioro rannych przewieziono już do szpitala.

EWALD:

Jezus Maria, dyć Jorg był na tym marszu!

AGNIESZKA:

Maks też szoł kaś ku rynku na wander, na pewno zaś był przi tych szalikowcach, co ich pokozali terozki w telewizorze.

EWALD:

Jeronie, dzwoń do nich!

Agnieszka stowo po mobilniok, ale gynał w tym momyncie on dzwoni, Agnieszka dziwo się na wyświetlacz.

AGNIESZKA:

Jakiś nieznany numer

(wylynkano odbiyro)

Halo?...

CZI DNI S ŻYWOTA OŁBERSZTAJGRA POZORA

Roman Gatys

26 stycznio 1945 rocek, łostatni dziyń Deutsches Reich na Gornym Ślonsku.
27 i 28 stycznio 1945 rocek, piyrwszy i drugi dziyń
Polokow i Rusow na Gornym Ślonsku.

PIRWSZO BINA

Gruba Bojtnera. Szola, w kiery sjyżdżajom na doł
ołbersztajger Johann Pozor i hajer Hajnel Krupa.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Wcora żeś, Hajnel, godoł, co mioł do twoi cery szac przijechać? I co, przijechoł?

HAJER KRUPA:

Toć co przijechoł, a tyla godoł. Padoł, co boł we Wartynał, to je we Zawierciu, i łostatnim cugiym uciykli Rusom, a Rusy do nich szczylali, i że Rusy niydugo bydom i u nos, i co cza pitać, i to zaros. Bo jak Rusy przidom, to wszystkich zatukom!!! A za Rusami idom Poloki!!! Moja baba i cera becały, była richtig komedyjo. Moja baba zoczona wszystko skludzać do kartongow…

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Jeronie, Krupa, niy faflejcie tyla, bo zaros to i nos na Ostfront ciepnom!!!

HAJER KRUPA:

Kaj na Ostfront, Herr Ołbersztajger, Rusy som jusz tukej, my bydymy sie prać sam ło nosz Hajmat, a niy ło Rusyjo!!!

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Krupa, coście niy byli w cechowni na godce łod direktora Holzego i lajtera Hankego? Coście niy suchali, co padali, że Rusy som fort, a Wehrmacht pieronow piere i żodyn Rus niy stanie na ślonski zoli?!

HAJER KRUPA:

Niy godejcie mi, Herr Ołbersztajger, bes wy, bo to jo tak do wos godom, a co żech słyszoł łod szaca moi cery, to żech słyszoł, łon niy cygani i łobejrzycie, co niydugo sam Rusy do nos wlezom!!! I to niy bydzie żodyn wic, jo wom to godom.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Torbcycie Krupa, torbcycie, tak sicher niy bydzie!!!

DRUGO BINA

Sztreka śtyrysta dziewinćdziesiont. Szola stowo i łoba wyłażom. Kole szoli stojom bergmony. Ołbersztajger Pozor i hajer Krupa łoroz do nich godojom „Glück Auf" i idom sztrekom dali.

HAJER KRUPA:

Niy gorszcie sie, Herr Ołbersztajger, jo tysz bych niy chcioł, coby tukej Rusy wlejźli! Jusz bych wolał Polokow, bo ich znom.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Niy ino ty Krupa, niy ino ty. Jo niy mom ło siebie stracha, ino ło moja familijo. Łoni niy wiedzom, co to je totalno wojacka. Som wiysz, Krupa, co śtyry moje synki som wojokami. Erich pod w Rusyji, Jorg je fermist we Francyji, Stanik i Wilym jeszcze sie kajś pierom, Gustlik i Paulek za modzi na wojokow, a jo som tysz sie śtyry lata za Kajzera Wilyma proł we Francyji. Bestosz wiym, ło czym godom!!!

HAJER KRUPA:

Ja, ja, toście mi niyros godali.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Piyrwyj jo robiył na grubie Polska Wirek, co za Niymca ta gruba miała miano Deutschland. Jak jo żech na ni robiył, to łona jusz miała miano Polska i jo tam boł tak jak ty Krupa, nojpszot za ślepra, a potym za hajera. I tak do wojny. Kożdy sztajger tam boł Polok i żodyn Ślonzok niy mog sztajgnońć. Jak przisżli Niymcy, to wziyni mie i jeszcze pora chopow na Umszulong i zrobiyli mie na Bojtnerze sztajgrym, a rocek tymu ołbersztajgrym. Jak by sam przisżli Poloki nazot, toby mie sicher ściepli i zaś bych musioł być hajerym i bych dostoł chudszy geltag. Bo łoni majom swoich sztajgrof. Bestosz lepi jes, jak jes i szlus. To ci godom…

No, styknie tego beblanio, cza sie wziońść do roboty.

HAJER KRUPA:

Toć, Herr Ołbersztajger, cza.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Te sztomple na tyj sztrece jeszcze niy śmiyniyli, jo sie s nimi pogodom. Teroz sprowdzymy, co u sztajgra Sitka. Łoni zaroz bydom szczylać, cza sie gibnońć!!!

HAJER KRUPA:

Jesce poł godziny do szczylanio, a ściana zaros je tukej.

Ołbersztajger Pozor i hajer Krupa dołażom do ściany.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Co sam je los!!! Kaj je sztajger Sitek i hajery? Pacz Krupa, patrony w dziurach i szisdrat łod nich idzie!!! Krupa, szukej ich drapko, a jo sam łostana i poczekom abo na ciebie, abo na nich.

HAJER KRUPA:

Jusz ich szukom, Herr Ołbersztajger!!!

OŁBERSZTAJGER POZOR:

To pierońskie gupieloki, łostawiyli ściana bes wachtyrzy, bydzie sztrofa, i to srogo!!!

Łoroz rombło i ściana szpryngło w luft. Ołbersztajgra Pozora przisuło, niy na śmierć, ino straciył anong. Leży na spongu przisuty wonglym i haśplami.

CZECIO BINA

Ołbersztajger Pozor jes w piyknyj izbie zrobionyj na bogato, gryfne meble, moc chromlojchterow. Kole niego stoi chop Skarbek i baba Silesia i kukajom na niego. Łon mo zawarte łoczy i leży na gryfnym szeslongu. Pozor słyszy gedicht, kiery go starosek naucył za bajtla. Gedicht godo Skarbek.

SKARBEK:

Wonio mi podzim, podzim mi wonio, jabonka na stromach cerwone.
Klara nad hołdom jusz niy blynduje,
Kartofle w fojechach spiecone.
Chnet bydzie bioło….

OŁBERSZTAJGER POZOR *(łotwiyro łocy, stowo sztram i godo gośno):*

Chlast w pysk, chlast w pysk, chlast w pysk!!! Herr Rechtor, niy piercie mie, prosza!!! Jo wiyncy niy byda!!!

SKARBEK:

Pamiyntosz tyn gedicht, Pozor?!!! Pamiyntosz?!!!

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Toć, że pamiyntom, starosek mie go naucył, a jo sie w szkole chcioł nim pochwolić i żech dostoł łod rechtora po pysku, bo tyn gedicht niy boł po niymiecku. Starosek musioł prziś do szkoły skuli tego larma, a szmarof żech łod staroska i fatra w doma za tyn gedicht niy dostoł….

OŁBERSZTAJGER POZOR *(kuko na Skarbka i Silesia)*:

Fto wyście som, jo jes w niebie, wyście som Ponbocek? A to świynto Marika?

SKARBEK SIE CHICHRO:

Niy, jo niy jes Ponbocek i to niy jes świynto Marika!

OŁBERSZTAJGER POZOR:

To wyście som świynty Pyjter? Ino jo niy wiedzioł, co wy mocie baba.

SKARBEK:

Pozor, Pozor, wiela ty robisz na grubie?

OŁBERSZTAJGER POZOR:

No bydzie ze 30 rokow.

SKARBEK:

I mie niy poznowosz? Jo jes Skarbek!!!

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Jezderkusie, wyście som Skarbek, ale jo wos w życiu sam na dole niy widzioł. Inne chopy godały, co wos widzieli, i to moc. Jo wos widza piyrwszy ros. A co sam robi ta baba?

SILESIA:

Jo jes Silesia, twoja starka ci ło mie za bajtla łosprawiała i mie ci malowała, bestosz wiysz, jak wyglondom. Jusz niy pamiyntosz?

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Ja, jusz pamiyntom.

SKARBEK:

Mosz recht. Jo ci sie niy pokozoł, boś boł bes te czidziści rokow dobry chop, bestosz jak dzisiej cza ci naszyj pomocy, to my som.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

A co je los? Jo żech kipnoł? I jeszech w niebie?

SILESIA:

Niy Pozor, jeszcze żeś niy kipnoł, ino jutro jusz cie sam niy bydzie i cza ci siyły, byś za pora lot sam mog nazot prziść do dom i na ta gruba.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Toć jo jes w doma i na moi grubie???!!!

SILESIA:

Jusz niydugo, jusz niydugo!!!

SKARBEK:

Powiymy mu Silesio, co go czeko?

SILESIA:

Jo bych ino jego winszowanie spełniyła, jutro i tak sie dowiy, co go czeko!!!

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Ło czym wy godocie, bo jo tego z waszyj godki niy kapuja!!!??? Co mie czeko, kaj jo puda!!!???

Łoroz zrobiyło sie ćma.

CZWORTO BINA

Pozor czuje, jak go ftoś po gymbie chlasto. Mo zamkniynte łoczy i godo po cichu. Wele niego klynczy Krupa i sucho, co do niego godo Pozor.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Co je? Kaj jo jes? Silesio i Skarbku, jo sie winszuja, bych mog pogodać jeszcze ros z moim synkiym Erichym. Dwa tydnie na Ostfroncie i go trefiyło... Czymu, Ponbocku, czymu!!!??? Teroski leży w Rusyji, jo chca go łobejrzeć!!! Prosza Wos!!!

HAJER KRUPA:

Herr Ołbersztajger, to jo, hajer Krupa, wos przisuło, jak szpryngli ściana, a wasz synek Erich pod w Rusyji. Wy żyjecie i zaros wos bydymy smyczyć na wiyrch. Niymcow jusz niy ma, przizszły Rusy i Poloki, i czekajom na nos na wiyrchu. Łoni majom stracha na dol sjechać.

OŁBERSZTAJGER POZOR *(łotwiyro łoczy)*:

Co ty, Krupa, fandzolisz, szalyju żeś sie nażar? Przeca jo sam leża niycało godzina i niy padej mi, co za ta godzina Rusy wygoniyli Niymcow???!!!

HAJER KRUPA:

Herr Ołbersztajger, niy niycało godzina, ino prawie dwa dni, dzisij jes dwodziesty łosmy, a niy szosty. Wcora sie szczylali na wiyrchu Rusy s Volkssturmym, pora synkow i chopow Ruse utukły. A Rusow utukli moc, bydzie chyba ze śtyrdziestu.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Co ty godosz, to je unmyjglich!!! Niymcow jusz niy ma?!!!

HAJER KRUPA:

Jo wom godom jak boło i jes.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Mosz cosik do picio, bo mom sucho w gymbie.

HAJER KRUPA:

Toć, że mom, sam mocie flaszka brausy, pijcie. *(Krupa dowo flaszka Pozorowi)* Na wiyrchu som Rusy wojoki i Poloki wachtyrze s bioło-cerwonymi fankami na rynkowach i gewerami. Jedyn wachtyrz pedzioł mi ofyn, co wszystkich,

co dzisiej robiyli na szychcie, weznom, by wypucować po froncie klamory. Momy pucować jakoś Samarkanda, bo tam je nojgorzi. Mie jusz chcieli do tego cuga zakludzić, toć jak żech pedzioł, co jada po ołbersztajgra, to kozali mi wos drapko przikludzić na wiyrch, bo im cza chopow, co sie na robocie znajom.

OŁBERSZTAJGER POZOR:

Jak żeś pedzioł? Samarkanda? Ty wiysz, co to jes abo kaj to jes? Może to po rusku?

HAJER KRUPA:

Niy słyszoł żech ło taki łosadzie abo ausdruku. Toć sie myśla, co to niy może być fort, bo prali sie sam ino bes jedyn dziyń. To daleko pucować niy bydymy.

OŁBERSZTAJGER POZOR *(wstowo, łoklupuje sie z marasu)*:

Mosz recht! To idymy na wiyrch do ty nowy polsko-ruski dyrekcyji i cza sie po polsku przipomnońć, bo po rusku niy umia. Jo ci jeszcze niy godoł Krupa, jak żech tak leżoł przisuty, toch widzioł Skarbka i Silesia i łoni mi godali, co byda musioł mieć moc siyły, bo dugo mie w chałpie niy bydzie i za pora lot przida nazot. S tego co widza, to niy mieli rechtu i możno w prziszłym tydniu bydymy jusz w doma, a jo u moi baby i bajtlow. Ino wypucujymy ta Samarkanda i pojadymy nazot do dom.

Ołbersztajger Pozor i hajer Krupa włażom do szole i jadom na wiyrch.

SYNEK Z GITAROM

Alina Moś-Kerger

Inspirowane prawdziwą historią

OSOBY:

JORG – nojwiyrniyjszy wielbiciel Karin Stanek na cołkim świycie, nigdy sie nie łożenioł. Karin była do niego nojwiynkszom miłością. Jego wiek w kożdyj scenie jest inny, ale to durś jest chop drobny, kruchy, niskiego wzrostu. Wrażliwiec i romantyk. W scenach, kiedy mówi po polsku, powinien mówić i tak z silnym, wyraźnym akcentem.

KARIN STANEK – wielko gwiazda bigbitu, bytomianka, piosenkarka, kero wszyscy znajom z piosynek „Malowana lala", „Chłopiec z gitarą", „Jedziemy autostopem". Jej głos z offu powinien dobiegać w scenach, gdy Jorg czyto listy, kere łod nij dostoł.

MAMA – matka Jorga odpowiednio starszo łod niygo o dwadziścia lot.

KOLEGA – kamrat Jorga z placu, niy podzielo zainteresowań Jorga muzyką.

Wszystkie osoby (poza Karin Stanek) są fikcyjne, a ino inspirowane prawdziwymi ludźmi, a opisane sytuacje mogły sie richtig wydarzyć, ale niy musiały.

SCENA I.

Rok 2009. Chorzów, kancelaria Urzędu Stanu Cywilnego.
Przy okienku 56-letni Jorg.

JORG:

Dzień dobry! Chciołech sie zmienić nazwisko.

URZĘDNICZKA:

Słucham?

JORG:

A, przepraszam... Chciałem... Znaczy proszę uprzejmię o zmianę nazwiska.

URZĘDNICZKA:

Niy, jo rozumia, co godocie, przeca mieszkom sam w Chorzowie. Jo sie pytom, po jakiemu ta zmiana nazwiska?

JORG:

No bo jo by sie chcioł łod dzisioj nazywać Stanek.

URZĘDNICZKA:

Stanek?

JORG:

Ja. Stanek. Jerzy Stanek.

URZĘDNICZKA:

Ale po jakiemu to, że prawie Stanek?

JORG *(konspiracyjnym szeptem):*

Bo jo kochom Karin Stanek.

Urzędniczka wybucho śmiechym.

URZĘDNICZKA *(pobłażliwie)*:

Chopie, dej sie pokój. Tyś chyba zdurnioł do reszty. To co, może jo sie mom zmienić nazwisko na Połomski, pra? Idź sie do dom, puś sie płyta i sie suchej Karin Stanek, i dej sie pokój z urzędami.

(w strona dźwi wejściowych):

Następny proszę!

Jorg zrezygnowany wychodzi z urzędu.

SCENA II.

Rok 1963. Dom rodzinny Jorga, familok. Wielko izba, łokno łotwarte, na byfyju gramofon. Dziewięcioletni Jorg nasłuchuje odgłosu zamykanych drzwi, żeby upewnić się, że jego starszo siostra już sie poszła. Wtedy doskakuje do gramofonu i próbuje puścić płyta. Po kilku nieudanych próbach wreszcie dobiegają go dźwięki „Chłopca z gitarą", z charakterystycznymi dla winyli trzaskami. Jorg słucho muzyki i sprawio mu to wielko radość.

KOLEGA *(woło z placu, głos dobiego zza łokna):*

Jorguś! Idziesz na plac?

JORG:

Niy moga.

KOLEGA:

No poć, pogromy sie w fusbal!

JORG:

Niy moga, mom sztuba!

KOLEGA:

To jo moga iś do twojij mamy jej pedzieć, że cie byda pilnowoł!

JORG:

Niy, dzisioj niy moga!

Do izby włazi Mama.

MAMA:

Idź sie na plac, Jorguś, jak chcesz. Nawdychej sie luftu, pobow sie trocha, a niy ino przi tym gramofonie kwitniesz, choby jakiś ciućmok.

Mama wyłazi z izby.

KOLEGA:

To co, idziesz?

JORG:

Niy, mama pedziała, że choby nawet po nia dioboł sam przziszoł, to jo na plac niy moga iś. Grejcie sie sami.

Z gramofonu dobiego „z nim by było szczęście moje, dwie gitary i nas dwoje, to marzenie w sercu budzi nie-po-ko-je"...

SCENA III.

Rok 1974. Mieszkanie Jorga. 21-letni Jorg siedzi przy biurku i po 12 latach platonicznej miłości zaczyno pisać piyrwszy list do Karin.
Wokół biurka walają się pogniecione kartki, nieudane brudnopisy.
Jorg bardzo się staro pisać po polsku, bo uważo, że tak wypado.
„Szanowna, najdroższa pani Karino. Piszę do pani, bo kocham panią już 12 lat, mam wszystkie wycinki prasowe na pani temat, słucham w kółko pani piosenek i w ogóle kocham panią już 12 lat, ale piszę dopiero teraz, bo jutro idę do wojska i wiem, że nic dobrego mnie już w życiu nie spotka, a ja panią kocham już 12 lat, więc piszę. Pozdrawiam, Jurek z Chorzowa".
Zadowolony z siebie wsadzo list do koperty, ślini brzeg i zaklejo.

SCENA IV.

Rok 1975, Bytom, tereny wojskowe. 22-letni Jorg melduje się w punkcie wydawania korespondencji.

JORG:

Szeregowy Jerzy Papiór melduje się po odbiór korespondencji. A skąd ten list? *(filuje na koperta)* Z Estrady Szczecińskiej? *(cieszy się)* Niy, niy mom lipsty w Szczecinie. Chociaż... W sumie to ja, bo to jest od takij mojij... od takij dziołchy to przisło.

(odwraco sie i w tajemnicy otwiero koperta. Wyciągo zdjęcie Karin Stanek)

JORG:

Ło pieronie, jakie piynkne zdjęcie! I dedykacyjo sam jest!

KARIN *(z offu)*:

„Dla mojego wiernego fana, pana Jerzego z Chorzowa, z podziękowaniem za pamięć i ciepłe słowa. Nigdy nie wolno panu o mnie zapomnieć! Malowana lala z Bytomia".

JORG:

No toć, że nigdy niy zapomna. Nigdy.

(przytulo fotografia do piersi)

SCENA V.

Rok 1981. 28-letni Jorg wraco do dom z listem od Karin Stanek. Kolejnym listem. Siado na kanapie i czyto.

KARIN *(z offu):*

„Nojkochańszy kociku! Piynknie ci dziynkuja za pamiynć, za te wszistkie o mie artykuły z gazet, jo sie pomyślała, że ty chyba w kiosku to majontek wydowosz, pra? Jo sie robia coroz bardzij niymiecko, to już pora lot, niy ma sie co dziwić. Dostowom piyniondze, mom miyszkanie, wszistko od państwa, musza ino łazić na tyn kurs do przesiedleńców. Czasami występuja, ale śpiywom głównie po niymiecku wtedy. Sam mi jes richtig dobrze, ale to niy jest mój dom. To niy jes mój dom. Tynsknia za Bytomiem. Beztuż tym bardzij sie ciesza, że sie tak piszymy te listy, że moga do ciebie po ślonsku pisać i że ty do mie tyż tak piszesz. Kociku mój, co jo by bez ciebie zrobiła. Tyś jest richtig moim nojlypszym przyjacielem, nojwiyrniyjszym. Kochom cie, całuja, pozdrawiom, twoja Karin z warkoczykami".

SCENA VI.

Rok 1985. Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Mama siedzi na ławce i sztrykuje. Podchodzi 32-letni Jorg. Boł na zolytach. Mama dostrzego go i odkłado na bok sztrykowanie.

MAMA:

Jorguś! No i co, jak zolyty? Godej no. I jak ta Cila. Fajno?

JORG *(po dłuższym milczeniu):*

Cila... Fajno, ja.

MAMA:

Jorg... Dyć widza, że chyba niyzbyt.

JORG:

Niy, mamo, fajno Cecylia.

(Milczą)

MAMA:

Jorg...

JORG:

Ja, mamo...

MAMA:

Godej. Jo niy po to ci koża łazić na zolyty, żebyś ty wracoł skuli dziołchów markotny. Łosprawiej.

JORG:

Jerona, mamo... Co mom łosprawiać. Godo mi ta Cila: „a co lubisz robić?". To sie pytom: „ale co mosz na myśli?". To ona godo: „no, że abo na kole sie pojeździć, abo iś do kina, abo do tyjatru, abo na kreple...". „Jo lubia sie słuchać muzyczki w doma" – pedziołech jej. Ona sie richtig zainteresowała: „padosz?" – godo do mie. To jo jej: „ja, rock'n'rolle lubia". Cila godo, że łona tyż. Myśla sie, że musza jej przeca to pedzieć, to godom, że jo nojbardzij lubia Karin Stanek. To łona godo, że Niemena. „A jo Karin Stanek" – powtarzom. „No a oprócz tego 2 plus 1 i Lady Pank. Lubisz?" – pyto sie mie ta Cila. „Niy, raczej wola Karin Stanek". A łona dalij: „a podobo ci sie Byata Kozidrak?". „Niy, no kaj tam Kozidrak do Karin". No to widza, że łona sie robi czyrwono na gembie, jakoś tako dziwno i nagle mi pado: „Jorg... A jo ci sie podobom...?".

MAMA:

Ło pieronie. I co żeś jej wtedy pedzioł, Jorg?

JORG:

„Niy, wola Karin Stanek".

MAMA:

Jezderkusie...

JORG:

Ale pedziołech jej tyż od razu: „Cila, fajno dziołcha z ciebie i w ogóle lubia sie tak z tobą posiedzieć na ławce, ale wiysz, tak jak jo kochom Karin, to ciebie nigdy tak przoć nie byda, musisz to zrozumieć. Rozumisz to, Cila?".

MAMA *(żegno sie):*

Świynty Tadyuszu Judo, jo już ino do ciebie moga rzykać...

Jorg milczy.

MAMA:

Tyś już chyba blank zdurnioł, synek. Niy umisz zrozumieć, że jak bydziesz taki maszkytny, to cie żodno baba niy zechce?

Jorg milczy.

JORG:

Darymny futer, mamo...

MAMA:

Niy lyj sie żurym. Ino ta Karina i Karina. Dej sie pokój. A co ci ta Cila pedziała? Może jeszcze bydzie szło jom udobruchać jakoś?

JORG:

Cila pedziała ino: „Jorg, ciebie chyba na dekiel pizło. Z ciebie jest zwykły ciul i sie to lepij zapamiętej" i sie poszła. No to jo niy wiym, czy sie do udobruchać.

SCENA VII.

Rok 1989. Sypialnia Jorga. 36-letni Jorg rzyko, na klynczkach.

JORG:

Ponbocku dobry i miłościwy! Tela mi dowosz dobrego, że niy poradza ci dziynkować. Doł żeś mi nojwiynkszy geszenk: moja nojdroższo Karina. Łona po ciebie i mojej mamulce jest do mnie nojważniyjszo. Matka mi durś godajom, żebych sie żenioł, łona nic niy rozumiejom.

Ale zolyty to niy do mie. Jo patrza na te frelki, takie gryfne, wysztiglowane, patrza i... tych warkoczy mi brakuje, jo by chcioł sam Karina łobejrzeć, na tych szpacyrkach, mie ani te łod tych dziołchów szaty, szczewiki na kromfleku, mie sie to ani niy podobo. Mie styknie bioło koszula i corne galoty. Ino tela. Karin mi pisze we listach, że mie te przonie moje do grobu wpyndzi, bo tako wielko miłość to nigdy do dobrego niy prowadzi, że mom dować pozór, bo byda łazioł tym niyszczynściem naprany i utopia sie w beluwie. A potym

mi pisze Karina, że tyż mie kocho, bo żech jes od niyj nojwiyrniyjszym wielbicielem. I mie już nic nie trza. Ponbocku, ty sie już zlituj i dej tyj Polsce inkszy ustrój, coby sie Karina niy boła sam przyjeżdżać i cobych jom mógł czynścij widzieć. Amyn.

SCENA VIII.

Rok 1991. Sopot, Opera Leśna. Za kulisami koncertu „Trzy dekady rocka w Polsce". Karin prowadzi 38-letniego Jorga między garderobami gwiazd, jedna ręka czimie na jego półrzitku.

JORG:

Karin, ale jes żeś pewno, że chcesz, żebych sam z tobą szoł? My sie w sumie dopiero czi dni nazod poznali...

KARIN *(śmieje się):*

Kocie, ty żeś jes moim nojlepszym przyjacielem. Czi dni nazod? Ty mie znosz lepij niż moja mama. Ty mi, synek, listy piszesz łod dwudziestu lot prawie. Nie być sam taki mamlas.

JORG:

Ale te ludzie sam sie mogą pomyśleć, że jo jes jakiś twój szac, abo co.

KARIN:

Przestoń, Jorguś! Co mie to obchodzi, co sie ktoś pomyśli. Poć. Poznosz kogoś. Ino ciii, niy odzywej sie sam po ślonsku, bo oni mie durś strofują za akcent. Czyrwono-Czarni to sie za punkt honoru wzięli, żeby mie porządnego polskiego nauczyć. Beztuż ciii...

O, Czesław. Poznaj mojego przyjaciela, Jerzego. Jerzy, to Czesław Niemen. A, dobra, jak się śpieszysz, Czesiu, to leć, leć. Serwus!

JORG *(szeptem, przejęty):*

Niy wierza. Niemen do mie cześć pedzioł!

KARIN:

A co ci mioł niy pedzieć, Jorguś. Poć, zaroz sie zacznie próba, to sie posłuchosz. Chcesz?

JORG:

No toć!

Karin rusza, Jorg zatrzymuje ją.

JORG:

Karinko... Jo niy wiym, jak ci dziynkować. To co ty do mie robisz...

KARIN:

A przestoń, Jorguś, niy ma o czym godać. Poć na ta próba, poć, kocik.

SCENA IX.

Rok 1991, mieszkanie Jorga. 38-letni Jorg pisze list do Karin Stanek. „Roztomiło Karinko moja! Chciołech ci ino napisać, że niy mom słów, żeby pisać. Te dni we Sopocie... Jo nigdy w życiu niy przeżył czegoś takiego. Ty. Muzyka. Larmo. Próby. Ty. Zdjęcia. Dziennikarze. Wiater łod morza. Ty. Szampan. W pierony flaszek ze szampanem. Bukety róż. Ty. Gitara. Spacer. Ty. Warkocze. Piosenki. Ty. Koncerty. Ty. Rock'n'roll. Ty. Szczęście. Ty. Ty. Ty. Kochom cie, Karin. Przaja ci jak nikt nigdy nikomu. Twój Jorg".

SCENA X.

Rok 1995. Mieszkanie Jorga. 42-letni Jorg siedzi som na tapczanie w swojyj izbie, na stole prawie pusto halba gorzoły i kieliszek. Wchodzi Mama.

MAMA:

Jorguś... Synku... Dej sie już pokój. Gupio żeś zrobioł, jo niy godom, że niy, gupio fest, nastympno tako fajno dziołcha kantym puścić. Tyś, synek, Ponbócka za nogi chycioł i juzaś przez te twoje duperele nic niy wyłazi. Jo cie prosza, wiela ty mosz lot, już niy dwadziścia, ani niy trzydziści, coby wydziwiać.

Jorg milczy, gowa wsunął miyndzy ręce.

MAMA:

No godej coś do mie...

JORG:

Mamo, jo kochom ino Karin.

MAMA *(zniesmaczono):*

Przestoń.

JORG:

Mamo, jo ij przaja jak nigdy nikomu. Jo jom tak kochom, żebych życie za nia łoddoł. A żodno dziołcha tego niy rozumie.

MAMA:

Niy rób sie gańby, synek. Miołżeś fajno dziołcha, prosto, gryfno, skromno, uwarzyć umiała, wyglancować izba, ło ciebie sie zatroszczyć. Karin Stanek... Wiysz ty co... To niy jest do ciebie, ty sie ani niy wyłobrażosz, co to jest za świat.

JORG:

Ale mamo, my sie przeca poznali, niy ino w listach. I od tego dnia jo jom kochom jeszcze bardzij.

MAMA:

Jorguś, to jes ino kolejno motyka, co jom w telewizji idzie łobejrzeć. Ty sie myślisz, że co? Że jak łona jeździ na te koncerty, to łona bydzie ło ciebie myśleć, jak mo tela chopów dookoła? Wbij sie do łba, że to motyka i dej sie pokój. Niy chca nigdy wiyncej słyszeć ło Karin Stanek, ja?

SCENA XI.

Rok 1999. Noc. Chorzów, ulica Wolności. 46-letni Jorg na kolejnych słupach przikiejo plakaty. Na horyzoncie pojawio sie kolega z dzieciństwa.
Jorg zasłanio sie plakatami, nie chce, żeby kolega go zauważył. Bezskutecznie.

KOLEGA:

Irzi? Irzi, to ty?

JORG *(zrezygnowany):*

Ja, to jo.

KOLEGA:

Downo my sie nie widzieli, cześć! Boł żeś dzisioj na Ruchu? Chopie, jaki boł szpil, to sie niy wyobrażosz! Widziołś to?

JORG:

Niy, niy byłech na szpilu.

KOLEGA:

Pierdonie, godom ci, żałuj, chopie! Ida do szynku, poć ze mną, to sie pogodomy.

JORG:

Niy, niy moga.

KOLEGA:

No poć, tela lot my sie niy widzieli przeca!

JORG:

Niy moga, pedziołech mamie, że zarozki wróca do dom.

KOLEGA:

Ty durś mieszkosz z mamą? Chopie, jo widza, ty sie nigdy niy zmienisz! A co sam mosz za plakaty? No te, co kleisz? Że derby som za tydzień, pra?

Jorg odsuwo plakaty, zakrywo rękami.

JORG:

Niy, to takie inksze.

KOLEGA:

No pokoż mi.

Jorg zrezygnowany i trocha zawstydzony pokazuje koledze plakat.

KOLEGA:

Koncert Karin Stanek w Zabrzu?! Chopie, jo widza, ty sie nigdy niy zmienisz! Ty durś ta Karin Stanek, ja? I beztuż niy chcesz iś do szynku? Jorg, tyś jes chyba gupi. Życie sie marnujesz. Smol ta Karin i poć do szynku.

JORG:

Niy, niy moga, pedziołech mamie...

KOLEGA *(macho ręką):*

A, rób jak chcesz. Ale jo niy wiedzioł, że z ciebie aż tako safanduła. *(do siebie)* Koncert Karin Stanek w Zabrzu, hahahaha.

Kolega odchodzi, śmiejąc się w głos.

SCENA XII.

Rok 2004. Mieszkanie Jorga. 51-letni Jorg wbiego do mieszkania, loto jak łogupiały, przestawio przedmioty bez ładu i składu, rycy do Mamy.

JORG:

Mamo! Mamooo! Muszemy sam sprzontać! Szybko! Tu mo być blank wyglancowane! Karin Stanek przijedzie sam do nos, do dom!

Mama wychyla sie z kuchni, wyciero dłonie w fartuch.

MAMA:

Co ty juzaś godosz, synek?

JORG:

Karin jes w Bytomiu, bo jutro mo koncert. Pedziołech jej: to przić do mie na kawa, poznosz moja mama i pokoża ci te biurko, co przi nim pisza listy do ciebie. A ona pado: ja, przida, to byda o pół szósty. Wyobrażosz sie to, mamo? Poć, sprzontomy, bo sam Karin Stanek zaroz przidzie, umisz sie wyobrazić?

SCENA XIII.

Rok 2004. Karin odwiedza 51-letniego Jorga w jego mieszkaniu. Klupanie do dźwi.

JORG:

Jo, jo otworza, mamo! *(otwiyro)* Karin! Witomy w doma!

KARIN:

Serwus, Jorguś. Witejcie, mamo mojego nojwiyrniyjszego wielbiciela.

Karin wchodzi, czymie zapakowano z kolorowy papiór gitara.

MAMA:

Witomy piynknie, pani Karinko! To tak miło, że nos odwiedzocie, wiycie, jo by w życiu niy pedziała, że z wos jes motyka, co jom w telewizji idzie łobejrzeć. Abo że jak jeździcie na te koncerty, to w chopach niy przebierocie, czy coś. Niy, tak bych w życiu niy pedziała, pani Karinko.

KARIN:

To... richtig fajnie.

JORG:

Chcesz tyju? Kawy?

KARIN:

Tyju.

JORG:

To jo zrobia. Mamulko, wy sam mocie jeszcze tyj, pra?

MAMA:

Ja, jo mom.

Karin i Mama siadają na tapczanie. Chwilę milczą.

KARIN:

Mom do Jorga geszynk.

MAMA:

Ja, richtig? *(pokazuje na gitara)* A co to może sam być?

KARIN:

Gitara.

MAMA:

Dyć, że gitara. Wiedziałach.

KARIN:

Ja, nalepiłach tam tako naklyjka z dedykacyjom.

(Chwila niezręcznego milczenia)

MAMA:

Wycie, mój Jorguś wos tak kocho... Jo niy wiym, ale wyście już niy som za młode, trza by to jakoś... Byście sie chyba musieli wydoć za niego.

KARIN *(śmieje się):*

No ja, jo go tyż kochom, łon jes do mie jak brat, jak nojlypszy przyjaciel. Ale moja mamulka godo to samo, że Jorg wiycznie czekać nie bydzie, a i jo młodszo niy byda. No tak to z tymi mamulkami.

MAMA:

No to jo mu musza pedzieć, żeby sie sam wzion i oświadczoł!

KARIN:

Pani Papiórowo... Jo miyszkom w Niemcach, Jurek mo sam fajno robota na poczcie. No i to niy takie przonie...

MAMA:

Jak to niy? Łon by za wos życie łoddoł! To wy godocie, że to niy przonie? Byście sie wstydzili, pani Karino.

Wchodzi Jorg z herbatą.

JORG:

Prziszoł tyyyyj. Piynkny widok. Richtig, godom wom. Dwie nojważniyjsze baby mojego życia. Razem, u mie w izbie. To jest richtig nojpiynkniyjszy widok.

SCENA XIV.

Rok 2010. Mieszkanie Jorga. 57-letni Jorg dostowo dugo wyczekiwany list od Karin. „Nojukochańszy Jorgusiu! My oba byli do siebie stworzeni. Ty mie całe życie tak kochosz i jo tyż kochom ciebie. Ty żeś jes moim nojlypszym przyjacielem, nojwiyrniyjszym absztyfikantym. Musisz zawsze o mnie pamiyntać, choby niy wiym co. I jak mnie Ponbocek weźnie do siebie, to durś suchej moich piosynek. I pamiyntej: my oba byli do siebie stworzeni! Przaja ci cołkim sercym. Twoja lala z warkoczykami".

SCENA XV.

Rok 2011. Mieszkanie Jorga. Zalany łzami, zrozpaczony, 58-letni Jorg siado do biurka i zaczyno pisać list do Karin. „Moja roztomiło Karinko! Dopiyro dwa dni nazod, jak cie wznion Ponbocek, a jo czuja, że moje życie sie skończyło. Durś sie modla, coby już być razym z tobą. Tyś była do mie nojważniyjszo! Po Ponbocku i mamulce tyś była do mie richtig nojważniyjszo. Suchom sie twoich piosenek i ryca jak mamlas. Kożdy twój list to boł do mie nojlypszy geszynk. A kożde spotkanie... Karinko, jo by tak chcioł już być z tobą. We listach żeś mi pisała, że mom o tobie pamiyntać. Nigdy, nigdy cie niy zapomna i zawsze, zawsze byda cie kochoł najmocniyj. Wszystkim byda o ciebie łosprawiać, może keryś to kiedyś spisze, a ludzie bydom to cytać i słuchać tyj naszyj historyji. Kochom cie. Twój Jorguś z Chorzowa".

MATKA BOSKA NA KIPISZU

Jerzy Frelich

Sztuka w jednym akcie i dwóch odsłonach

WYSTĘPUJĄ:
BUJOCZEK – górnik z Piekar Śląskich (z KWK „Andaluzja")
RECHTOR – nauczyciel z Rybnika
JOKER – informatyk z Katowic
DOKTOR – lekarz z Dusznik-Zdroju

CHÓR INTERNOWANYCH – poza planem
GŁOSY KLAWISZY – poza planem

ODSŁONA I

*Cela w obozie internowanych w Uhercach, krótko po kipiszu**: *materace łóżek piętrowych (po obu stronach okna) powywracane; piętrowe łóżko z prawej, przeznaczone wyłącznie na plecaki i inne bagaże, w kompletnym nieładzie; rozmaite kartony powywlekane spod łóżek potęgują chaos. Na ścianie napis: „Solidarność zwycięży"! Na drzwiach: „Cela 27 ma zawsze rację"! W środku stół nakryty kocem, na nim porozrzucane papiery. Pod ścianą przy drzwiach wąski stolik kuchenny, na nim kocher (maszynka elektryczna) do gotowania, duża puszka na herbatę, garnki, rondle, łyżki, noże itp.*

CHÓR INTERNOWANYCH *(na korytarzu):*
Kipisz! Alarm! Nalot! Zadyma! Zanurzamy się!
JOKER:
Zaspaliście, chopcy! My już som po!
BUJOCZEK *(stoi na dolnym łóżku, porzondkuje swoje górne):*
Tak sie dać zaskoczyć! Jo tego niy przeżyja! Czymu keryś z was niy zablokowoł dźwiyrzi?

* Przeszukanie osobiste, bagaży lub pomieszczeń.

RECHTOR *(siado z boku przi stole, wyciongo spod pachy ocalone „kopertówki”*):*

Czamu tyś tego niy zrobił? Bez przerwy sie kryncisz przi dźwiyrzach. Mogżeś powiesić gornek na klamka i blokada momy jak bombon.

BUJOCZEK:

Toż jo mom wszystko robić – warzić, pomywać, prziniyść, wyniyść, pozamiatać i jeszcze dźwiyrze blokować?!

JOKER:

Miołeś szansa bardzij sie wykozać i dzisiej byś zbiyroł gratulacje!

BUJOCZEK:

Jeszcze jedno wom powiym, że jo wos, chopy, nie rozumia! Piliście czaj z biksy jak najyńci, żodyn niy zważoł, że roz za razym wystowało konsek młotka. Jo dolywoł woda, żeby sie klawisze niy pokapowały. No i zaś keryś pieron upił tego tyju!

JOKER *(siedzi przy stole, bawi sie pustym gorkiym, tym od blokady):*

Cołkie szczynście, że kerymuś z klawiszy niy zachciało sie pić!

BUJOCZEK *(opryskliwie w kierunku Jokera):*

Ty sie lepi nie odzywej. Niy dość, żeś słepoł czaj jak kamela ocet, to skiż ciebie stracili my radio! Pieronie! Niy umioł żeś tego radia lepi zakipiszować? Jak bydymy robić „wiadomości ze świata”? Niy śmiyj sie, bo co nom teraz zostało? Chyba twoj gupi pysk!

(Joker zamachnoł sie gorkiym, ale zamiast adwersarza trefił... Rechtora!)

Rechtor (syknoł, chycił się za lewe oko, na palcach pojawiła sie krew):

Czyś ty ogłup? *(zdonżył skomyntować)*

JOKER *(zmartwioł, potym podniosł gornek, siod kole Rechtora):*

Jo niy chcioł! Przebocz! Mosz tu gornek! Prziwol mi! Prziwol w tyn gupi pysk!

RECHTOR:

Pasuje, ale lepi bydzie, jak skoczysz po naszego dochtora.

(Joker opuszczo cela. Rechtor papiorem toaletowym próbuje zatamować krew)

DOKTOR *(wchodzi do celi):*

No, którego to „Smętek” pokąsał? Pokaż, Rechtor, co się stało? Nic wielkiego, zostanie ci blizna na łuku brwiowym. To masz tak, jakbyś na ringu nieco powalczył *(zakłada opatrunek).* Słuchaj, przy okazji chciałem zapisać ten wiersz, któryś wczoraj recytował. Możesz mi go podyktować?

RECHTOR *(wyciera ręce, wyciąga kartkę, czyta bardzo wolno, niekiedy powtarza):*

Powracajcie do domów zza kraty. Pozostawcie tam losy garbate.
Pozostawcie dni klęską znaczone,
Powracajcie do ziemi zielonej.

---

* Koperta z nadrukiem tematycznym, znaczkiem i stemplem nielegalnej poczty obozowej.

Powracajcie chłopcy, już czas!
Powracajcie nasi chłopcy do domów,
Bo się chwasty plenią wśród zagonów.
Powracajcie, bo wiedźma tęsknota
Co dzień zęby wyszczerza u płota.
*Powracajcie chłopcy. Już czas!**

BUJOCZEK *(do Doktora):*

Wos tyż dopadli na kipiszu? My mieli pecha, cołkiem nos zaskoczyli!

DOKTOR:

U nas, jak zwykle, zadyma! Zaskoczyć nas nie zaskoczyli, ale sukinkoty szli jakby na pewniaka! Niczego nie kipiszowali, za to zaczęli opukiwać posadzkę i pod łóżkiem Janusza** natrafili na tę naszą skrytkę, którą dłubaliśmy cały miesiąc! Cały miesiąc! A w niej stemple poczty obozowej, matryce, w tym te wasze, do kolorowego znaczka z Matką Boską Częstochowską!

BUJOCZEK:

Tego jeszcze brakowało, żeby Matka Boska na kipiszu wpadła! Nic gorszego niy mogło nos spotkać! Joker sie pochlasto, jak sie dowiy! Wiysz, wiela roboty kosztowały te matryce? My mu trocha pomogli. Znaczek mioł być w sztyrech kolorach, jak obraz w oryginale! No, ale godej dali.

DOKTOR:

Klawisz „Kapuś"***, jak odkrył skrytkę, aż pisnął z podniecenia, ale żeby się do niej dorwać, musiał położyć się na brzuchu, co też uczynił i zaczął wygarniać po kolei poszczególne przedmioty.

Przekładał je do drugiej ręki i podawał... jak sądził koledze, a to... Wuja odbierał od niego cały materiał i... rozprowadzał wśród nas!

RECHTOR:

Niesamowity ten Wuja! Brawo!

DOKTOR:

Kompan „Kapusia", przez nas zablokowany, zachowywał się dość rezerwowo, czego nie można powiedzieć o samym „Kapusiu"! Moglibyście zobaczyć jego minę, jak się zorientował, że cała robota na nic! Posłał koledze zabójcze spojrzenie, zakręcił się jak fryga i czmychnął jak ten diablik od Pani Twardowskiej.

CHÓR INTERNOWANYCH *(na korytarzu):*

Koniec kipiszu! Wynurzamy się! Spotkanie starszych cel! Za pół godziny!

---

* „Powracajcie chłopcy" – fragment. Anonim zapisany w obozie w Grodkowie.
** Janusz, Wuja, Wielka Kopa – współinternowani.
*** „Kapuś", „Pachołek" – ksywy wyróżnionych przez internowanych klawiszy.

DOKTOR:

Idę na to spotkanie, trzymajcie się.

(do Rechtora): Później zmienimy opatrunek.

RECHTOR:

Dzięki. Mam nadzieję, że do Barborki sie zagoi.

JOKER *(wpada do celi po wyjściu Doktora):*

Ale była zadyma: Wuja i inni!

BUJOCZEK, RECHTOR:

Wiymy, wiymy.

JOKER:

Ale niy wiycie wszystkigo, co jo wiym! I jak sie bydziecie stawiać, to wom niy powiym.

RECHTOR:

Co mosz godać, godej, bo jak sie znerwuja, to gorkiym prziwala!

JOKER:

Przijechoł ksiądz sufragan diecezji gorzowskiej z darami dlo nos od rolników indywidualnych. Komendant pozwolił przijonć żywność, ale biskupa na ośrodek niy wpuścił, padoł, „że niy może mu zapewnić bezpieczyństwa"!

BUJOCZEK:

Taki przewidujoncy?! To muszymy zaprotestowć jak sto pieronow!

JOKER:

Jak myślisz, co zrobili Gorzowioki przi bramie głównej? Ale ksiądz sufragan nie zamiyrzoł zaostrzać sytuacji, poprosił chopcow o wyrozumiałość... dla szefa ZK, no i rozeszło sie wszystko po kościach.

BUJOCZEK:

Dobra, a my muszymy wybrać starszego celi, bo jest spotkanie. Jo proponuja Rechtora! Z tym okiym wyglondo dość groźnie, choć ni ma to zebranie piratow, bydzie tam pasowoł.

JOKER:

Jo jest za. Rechtor, zostoł żeś demokratycznie wybrany. Co mosz godać wiysz abo bydziesz wiedzioł. Nojważniejsze problemy to woda, a właściwie brak wody, i kiepskie ogrzywanie, o żarciu niy godom, bo nom kolega Bujoczek warzi.

BUJOCZEK:

My tu posprzontomy po tych zabijokach. Pomyślymy, jak te nasze matryce dobrze zakipiszować. Niy mogymy na inkszych liczyć, bo sie świynto Paniynka na nos pogniywo!

BUJOCZEK *(po chwili do Jokera):*

Obejrzyj sie teraz, co było zagrożone skiż ciebie *(wyciongo z czaju młotek, kombinerki, majzel i poł brzeszczota).*

JOKER:

Wiysz co? Ty sie chyć porzondku „w kuchni", potym zrób czaj, ale świyży, a jo załatwia te łóżka.

CHÓR INTERNOWANYCH *(ze świytlicy dochodzą najpierw salwy śmiechu, potem śpiew):*

Mówili, żeśmy stumanieni (na melodię „Pierwszej Brygady")
Nie wierząc w to, że chcieć to móc.
Zostaliśmy osamotnieni
A przeciw nam był armii wódz!
// My internowani
W Uhercach zatrzymani
Na stos! Rzuciliśmy!
*Nasz życia los! Na stos, na stos! //**

BUJOCZEK:

Śpiywajom, to znaczy idom w dobrym kieronku *(gotuje nowy czaj).*

JOKER:

A niy zdo ci sie, że keryś zaś zacznie, czy mo być „buc" zamiast „wódz"? Pamiyntosz, jak to było w Zaborzu**? Miesionc my sie spiyrali. A potym i tak kożdy śpiywoł, jak chcioł.

BUJOCZEK:

O tym tyż myśla, ale przeca wiysz dobrze, że tu bardzij niż w Zaborzu wiara dzieli sie na „Oszołomów"*** i tych z „PLL"****. W Zaborzu my tak tego niy stawiali.

JOKER:

Ale tyż były podziały wzdłoż i wszerz. Za staryj Polski były nawet dwa zwionzki powstańcow: korfanciorze i rządowi! *(zaglondo do wielkij biksy).* Czaj już uwarzony. Poczekomy jeszcze na Rechtora, co powiysz?

BUJOCZEK:

No toć, niy bydymy sie pyskow parzić!

(Rechtor wchodzi do celi)

BUJOCZEK:

No to siadomy, czaj gotowy, bajzelki***** na stoł. Godej, kaj my som i kaj idymy?

RECHTOR:

Zebranie kludził wódz Wielka Kopa. Jeszcze dobrze niy zaczon, a już sie wkurzoł, bo wszystkich niy było. A zaroz potym kupa śmiychu, bo Janusz zapytoł,

---

* Hymn Zabrza-Zaborza, fragment. Anonim; w oryginale... „w Zabrzu zatrzymani".

** Zabrze-Zaborze, główne miejsce internowania członków śląsko-dąbrowskiej „Solidarności".

*** Ci, którzy wszelkimi sposobami bronili godności uwięzionych czy zatrzymanych.

**** Tzw. lewica laicka, która działała metodami umiarkowanymi w tym samym celu.

***** Słoik po dżemie, który w czasie internowania pełnił rolę szklanki.

„czy jest quorum”? Pora „Oszołomów” sie spoźniło, bo każdy chcioł Wujowi pogratulować za wyczyn na kipiszu.

JOKER:

Chyba nikt niy zgłoszoł wontpliwości?

RECHTOR:

Wszystko to jednak tak pomiyszało szyki Wielkij Kopie, że zachowoł sie choby moj kompel, jak prowadził piyrwszo lekcja w życiu. Podoł tymat uczniom do zapisanio, potym inkszy wpisoł do dziynnika, a jeszcze inkszy realizowoł na lekcji!

BUJOCZEK:

Co ty fulosz, Rechtor! Godej krotko i do rzeczy!

RECHTOR:

Dobra. Nojwiyncyj godoł o trzaskaniu dźwiyrzami. Bezmała skuli tego pogorszyła sie u nos atmosfera i nikerzi już tego niy strzimujom! Wspomnioł tyż o miyndzynarodowyj komisji PCK, a potym przeskoczył na tymat rocznicy rejestracji zwionzku.

JOKER:

Fajno rocznica, ni ma co! A zwionzek zdelegalizowany! *(patrzy na tyn napis na ścianie)* Czy yno my tu momy nadzieja? Muszymy to jakoś zaznaczyć, pieronie! Coś zrobić!

RECHTOR:

Wódz Wielka Kopa zaproponowoł z tyj okazji pogadanka i ci z „PLL” to zaakceptowali! Jo zaproponowoł głodówka, ale niy było chętnych.

BUJOCZEK:

My som za głodowkom! Przeca „cela 27 ma zawsze racjo”! Tego sie muszymy trzimać, przez gupota my tego niy napisali. Mało, my w to wierzymy!

JOKER:

Jak inksi niy chcom, to trudno. Może sie bojom, że ich do dom ani na Wilijo niy wypuszczom!

BUJOCZEK:

A do tego rozwalymy ta przeklynto blynda* w oknie korytarza! Ekstra jom tam przispawali, żeby my niy widzieli, kto przijyżdżo na widzynie! To nom odsłoni widok na brama głowno i zaros bydymy mieć lepsze samopoczucie!

RECHTOR:

To sie do zrobić, „Oszołomy” kończą przigotowania. Tyn górnik z „Ziemowita”, niy uwierzicie, przemycił już do obozu kilofek i brecha! A ty, Bujoczek,

---

* Blacha przyspawana do krat okna, by całkowicie ograniczyć pole widzenia.

musisz jeszcze uzbroić ta ława, kerom chcesz sie przebić na Barborka z „Andzie" do „Julki"*.

JOKER:

Chopy, to tak: Rechtor, zredaguj pismo do komendanta, że tacy i tacy podyjmujom głodówka, i napisz, czymu sie na nia decydujymy! Jo przigotuja transparynt „Głodówka Protestacyjna" i wywieszomy go na kratach naszego okna w strona drogi na Polańczyk!

DOKTOR *(wchodzi naraz do celi):*

No, Rechtor, jak sie czujesz, to oko jeszcze ci skoko? Pokaż. Dobra, wszystko w porządku.

BUJOCZEK:

Dobrze, żeś przziszoł dochtorku, my podyjmujymy głodówka, wiysz skuli czego? Momy nawet hasło: „Zadymiarze wszystkich obozów, łączcie się"!

DOKTOR:

Pytam o jej sens. Według wszelkich znaków na bieszczadzkich bezdrożach internowanie się powoli kończy. Chyba że chcecie być organizatorami „ostatniej głodówki" internowanych.

JOKER:

Ostatniej niy ostatniej, ale niy bydzie Jaruzel pluł nom w gymba! A my jak trusie – pogadanka!

DOKTOR:

W takim razie posłuchajcie. Nawet dobrze się składa, jutro jest kąpiel, po kąpieli meldujemy się u lekarza. To pierwsza rzecz – badanie głodujących. Dzisiaj jeszcze nafaszeruję was witaminami.

BUJOCZEK:

Godosz „meldujymy się"... Czy to znaczy, że głodujesz z nami?

DOKTOR:

A jak wy myślicie, czy lekarz internowanych opuści swoich w takiej chwili? Jutro mamy 10 listopada! A oprócz tego będzie wam raźniej w mojej kompanii. *(Bujoczek, Joker, Rechtor po kolei klepią go po ramieniu, ściskają prawicę)*

RECHTOR:

Obej sie, to jest nasz człowiek, chociaż gorol, dwa razy niy musisz mu godać!

JOKER:

Czas na transparynt. Nojchyntnij bych dopisoł nasze hasło, ale trocha za dłogie.

---

* Pieszczotliwe nazwy kopalń w Piekarach Śląskich: „Andaluzja", „Julian".

ODSŁONA II
SCENA I

Cela więzienna już uporządkowana. Pod napisem „Solidarność zwycięży" pojawiło sie dodatkowe legowisko. Do celi wchodzą z ręcznikami na szyjach Joker i Rechtor.

RECHTOR:

Woga mom zadawalająco, genau jak na studiach, dwadziyścia lot tymu! Z tobą chyba jest gorzij, bo ta woga, jak żeś na nia wloz, ani niy drgnyła!

JOKER:

Jo był zawsze najmyńszy w klasie, jak chopcy grali we fusbal, to jo im bale podowoł z ausu *(patrzy na legowisko).*

DOKTOR *(siada na posłaniu, ledwo rozbudzony, deklamuje):*

Budzę się rano, nie wiem o której,
Jeszcze zegarek mam w depozycie,
W majtkach państwowych urwał się sznurek,
Ale dwa koce mam na okrycie.
Potem drzwi skrzypną jak brama w piekle,
Klawisz zagląda, czy się nie wściekłem?
Potem drzwi skrzypną jak brama w piekle,
Klawisz zagląda, czy nie uciekłem?
Wieczorem będą te same kraty.
Słońce jak zwykle zajdzie pod ziemię.
Znowu się przełknie kolejną datę
A na kolację konserwę z Niemiec[*].

BUJOCZEK *(wchodzi do celi, przerywa Doktorowi deklamację):*

Te, dochtor! Zbiyrej sie, lykorz na ciebie czeko, moga powiedzieć, że z niyciyrpliwościom. Jo mu jeszcze pedzioł, co z ciebie jest za as!

DOKTOR:

Nie muszę wam przypominać, że przyjmujemy tylko płyny (doktor siedzi nadal na swoim posłaniu i patrzy na drzwi; czyta głośno: „Cela 27 ma zawsze rację"). No chłopcy, a jak by to było po śląsku?

BUJOCZEK:

Cela 27 mo... mo... racjo... racyjo... zawsze.

JOKER:

Niy jonkej sie, to jest blank proste – „...mo zawsze recht"! Abo krotko: „mo recht".

---

* „Przeliczanka", fragment. Autor Jacek Okoń z obozu w Zabrzu-Zaborzu.

BUJOCZEK:

Jo sie niy byda z tobom wadził, Joker, ale jak żeś jest taki mondry, to pod spodkiym dopisz: „mo recht".

JOKER *(szuko w kartonie spod łóżka odpowiednich plakatowek i zabiero sie do roboty. Pod napisem dodaje myślnik i dopisuje „mo recht" i pyta):*

A kogo poślymy na ta pogadanka o rejestracji zwionzku?

BUJOCZEK:

Mie niy biercie pod uwaga, ida na spotkanie „Oszołomów" *(opuszczo cela).*

RECHTOR:

Doktor niych idzie, bydzie reprezyntowoł głodujonco wiara na forum lewicy laickij, czyli „PLL". To „pasuje jedno do drugigo i luft mo" – jak godoł moj starzik.

DOKTOR:

Dobra, zajrzę jeszcze do lekarza. Potem pogadam o druku znaczka z Matką Boską. Nie wiem, czy chłopcy zgromadzili już wszystkie kolory farb?

RECHTOR:

Chyba tak, myśmy im dostarczyli czerwoną i niebieską. Czarną mieli. Czekali jeszcze na brązową. Dzisiaj w nocy mają się do tego zabrać. Joker im pomoże, ma te nasze matryce.

(Doktor wychodzi)

BUJOCZEK *(ładuje sie do celi razym z trzimetrowom ławom, stawia jom obok łóżek):*

Popatrzcie, jak sie zbroi ławy! Dwie takie momy, razym z jednym metalowym łożkiem służyć bydom czasowo jako tarany! Ustalili my, że do każdyj ławy mo być dwóch hajerow*. Joker jest za mały! Rechtor! Bydziesz czasowo robotnikym, chocioż jeżeś trocha za chudy!

RECHTOR:

Niezbadane som drogi i ścieżki w Bieszczadach. Co mom robić, Panie sztajger**?

BUJOCZEK:

Dzisiej w nocy bydzie pieronowy przeciong na gornym korytarzu. My momy mu pomoc, żeby wywalić ta zablindowano krata! Jo sztartna piyrszy, przziglondniesz sie i jak jo osłabna, na chwila mie zastompisz!

RECHTOR:

To my sie dogodali jak szleper*** z hajerym!

---

* Rębacz strzałowy, pracownik dołowy kopalni.

** Sztygar, pracownik nadzoru.

*** Ładowacz, pracownik dołowy kopalni.

SCENA II

(Cela pogrążona w ciemności, majaczą jedynie kontury łóżek. Z zewnątrz słychać straszne uderzenia! Cały pawilon się trzęsie).

GŁOSY KLAWISZY *(dają sie słyszeć, mimo głośnych uderzeń):*
„Odejść od kraty!", „Będą sankcje!", „Odwołamy widzenie!".
(Słychać też bębnienie kamieni o blindę oraz szamotaninę z kratami. Tępe, straszne uderzenia nie ustają! Są rytmiczne... Trzask żelastwa o ziemię!)

CHÓR INTERNOWANYCH *(z korytarza dobiegł śpiew):*
// Wyrwij murom zęby krat.
Zerwij kajdany, połam bat!
A mury runą, runą, runą,
*Aż pogrzebią stary świat //**
(Do celi wpadają po kolei jej mieszkańcy: pierwszy Joker – zapala światło, Doktor – sprawdza, czy okno dobrze jest zaciemnione kocem; potem zmachany Rechtor i zziajany Bujoczek).

RECHTOR *(głęboko oddychając):*
Co za noc! Udało sie! *(zwraca sie do Bujoczka):*
Był żeś dobry! Co hajer, to hajer!

BUJOCZEK *(łapie powietrze jak wielka ryba):*
Dobrze, że Janusz pedzioł, że jak odwalymy ta blynda, wszyscy momy sie cofnońć do korytarza.

RECHTOR:
No toć! Reflektor z kogutka cołki czas omiatoł krata. Przi jego świetle wyglondali my jak zgraja duchów. I tak było do końca. Krata spadła, a reflektor nikogo niy znod w dziurze korytarza! Przeciąg! Panie komendancie, przeciąg!

DOKTOR:
Na pawilonie światło zgasło w najlepszym momencie, jak chcieli nasi elektrycy! Kraty między kondygnacjami zostały spięte „węzłami gordyjskimi" według dzieła mechaników!
A klawisze nie zdołali nas zastraszyć!

RECHTOR:
Wiesz może, co wrzeszczał komendant ochrony przy kracie na dole?

DOKTOR:
Najpierw, że idą robić zdjęcia! A potem, jak nie sforsowali naszego „węzła", wołał, że nie będzie mu przykro, jak nas wszystkich zapakują na szerokie tory!

---

* Pieśń hiszpańskiego anarchisty, fragment; jeden z hymnów internowanych.

JOKER:

My tyż niy proznowali. Momy znaczek, z kerego dumne bydom Uherce jak z tego wolnościowego okna! Przyniosł żech wom piyrsze „kopertówki": nadruk, znaczek, sztympel! *(podaje każdemu po jednej kopercie).*

DOKTOR, RECHTOR, BUJOCZEK:

Ekstra! Cudowne! Ale fajne!

BUJOCZEK:

Pomału, jest rano, śniodanio dzisiej niy robiymy, bo głodujymy. Budza wos na obiod. Co bydzie? Nowy czaj! Gaszymy światło *(cela powoli pogrąża się w mroku).*

SCENA III

Cela więzienna. Rechtor i Joker przygotowują się na widzenie. Ładują plecaki, napełniają termosy.

CHÓR INTERNOWANYCH *(śpiew, który zawsze towarzyszył widzeniom, dobiega z korytarza):*

Szczekają gdzieś psy, ekstrema już śpi (na melodię „Teraz jest wojna")
I kończy sie wolna sobota.
Zajechał rząd suk, rżną buty o bruk,
Ktoś do drzwi gwałtownie łomota.
Zielona WRON-a, dziób w wężyk szamerowany,
Kto nie dał drapaka, kto nie chciał zakrakać,
Ten będzie internowany!
Od tego poranka codziennie łapanka
Szalała w bezsilnej wściekłości,
W Uhercach zaś z pierdla zrobiono internat
Dla członków „Solidarności"!
*Zielona WRON-a**...

DOKTOR *(akurat wszedł do celi z pieśnią na ustach... „dziób w wężyk szamerowany"...):*

Nie spotkaliście przypadkiem „Smętka"? Gdzieś się podział, no i chłopacy stali się wyjątkowo radośni! Nawet ci, którzy nie liczą na swoich bliskich. Jakiś dowcipniś w rozbitym oknie dorobił kraty, jak wy to mówicie – z... papen, z papyndekla! Tylko Bujoczek wartuje przy oknie ze „smętkową" miną. Czemu?

* „Zielona Wrona", fragment. Autor Bogdan Klich z obozu w Rzeszowie-Załężu.

JOKER:

A może wiesz, kto jest dzisiej oficerem dyżurnym?

DOKTOR:

Jasne, że wiem, nasz ulubiony porucznik, zwany „Pachołkiem"!

RECHTOR:

No, to może być wesoło! Idę pod okno, zobaczę, co z Bujoczkiem! *(słucha jeszcze, co Doktor powie).*

DOKTOR:

Już było i wesoło, i ciekawie! Najpierw Wuja, taki psychologiczny saper, rozpoczął najlepiej, jak mógł: „Panie poruczniku – powiedział – pan ma taki dobrotliwy wyraz twarzy, to dlaczego tu jedni mówią na pana »Pachołek«, a drudzy »Bandyta«?". I... skorzystał z zaskoczenia i polazł na widzenie bez kipiszu *(Rechtor wychodzi).*

JOKER:

I co, „Pachołek" już doszedł do siebie?

DOKTOR:

Można powiedzieć, że błyskawicznie! Kolejny, a szedł Janusz, nie byle jaki kozak! Stawiał sie jak zwykle i pan porucznik zawiesił mu widzenie! Drogo będzie go to kosztowało, bo Janusz zaraz zasiadł do pisania satyry ostrej jak kolczasty drut! Na widzenie może jeszcze zdąży.

RECHTOR *(pojawia się na powrót w celi):*

Bujoczka spod okna nie ruszysz. „Stoi jako skała, stoi jako słup", czyli jako śląski powstaniec na placowce. Czeko na żona, a szczególnie na swoja pieńcioletnio córeczka! Majom być! On to chce wystoć! A jo mom widzynie, wywołali mie *(zabiera swoje rzeczy, chwilę się zastanawia, nowo „kopertówka" z tym piyknym znaczkiym wtyko za skarpetka i wychodzi).*

JOKER *(do Doktora):*

Komisja PCK już pojechała? Z tom Francuzkom, szefowom, dobrze sie godało, obiecała załatwić nikere sprawy, szczególnie zdrowotne! Na to wyglondo, że dotrzimie słowa!

DOKTOR:

Ale żadnych dokumentów ani innych rzeczy nie chciała przewieźć. Umówiła się z komendantem, że nie będzie się bawić w kurierkę. Żałowała, ale dała słowo i nie mogła go nie dotrzymać!! Możesz być pewny, że słowo dla niej znaczy tyle co słowo i czyn!

CHÓR INTERNOWANYCH *(z korytarza dobiega kolejna piosenka):*

Zapada zmrok, w śnie widzę dom
W nim mały synek śpi.
Być może ktoś z rozkazu WRON

Dziś tłucze znów do drzwi.
// Nie bój sie synku,
Najdroższe serduszko me!
*Internowanie już wkrótce skończy się!**//

(Bujoczek pojawia się nagle ze „sławną ławą")

JOKER:

Niy wygłupiej sie! Przi niedzieli niy bydziesz walił w ściana! Klawisza tu skludzisz!

BUJOCZEK:

Musza!

JOKER:

Obej sie, moi tyż niy przijechali, a mieli być! Weź na wstrzimanie! Msza świynto niybawym.

BUJOCZEK:

Musza! Jedyn roz! *(łapie ława i wali niom całom siłom w ściana, za kerom miyszka jeden z „Julki").*

(Rechtor wraca do celi z plecakiym i siatkom)

JOKER:

Chopy, czujecie? Wonio owocami i piernikami! To jest sabotaż. Dyć my przerwiymy głodówka!

RECHTOR:

Wyboczcie, to mocie bardzij ćwiczynia, żeby niy ulegać pokusie niż męki Tantala!

BUJOCZEK:

Co on fulo? Jakigo Tantala? Jo by powiedzioł, że som to mynki Rechtora, na kere my som skazani.

RECHTOR:

Posłuchejcie, to ni ma nojważniejsze. Dlo naszch rodzin to jest wielko starość, że my sie na głodówka zdecydowali. Gorzij, myślom, że nic dobrego z tego niy wyjdzie. Nasz śpiyw ich trocha podtrzimoł na duchu, a moich jeszcze to, co mie sie przitrefiło!

JOKER:

Na pewno skuli „Pachołka"!

RECHTOR:

Zgodżeś! Przichodza, a na kipiszu „Pachołek" i sztyrech pomagierów! Przekipiszowoł mi plecak, spojrzoł na mie. „Zdejmuj buty i skarpetki" – zarzondził. „Co pan myśli, że mnie pan upokorzy, gdy będę stał na bosaka przed

* „Kartka od ojca", fragment. Autorzy K. Błaszczyk, J. Romaniszyn z obozu w Kamiennej Górze.

panem”? „Zgodnie z rozporządzeniem o stanie wojennym mam prawo dokonywać kontroli osobistej” – powiada. „Niech mi pan pokaże to rozporządzenie”! Szczęśliwie niy mioł go, poleciał do biura. W tym momyncie trzech klawiszy poszło zakurzić, zostoł jeden. Zaryzykowoł żech, podnosza nogawka, zza skarpety wyciongom „kopertówka” ze znaczkiem Matki Boskiej, owijom rynczniikym i kłada do plecaka! Klawisz ani drgnął! Jo sie go zapamiyntoł! Byda musioł zrobić dlo niego jakiś szykowny fajans*.

(Z korytarza dolatujom jakieś wrzaski... trzaskania drzwiami... ogólny hałas... tumult omal!)

JOKER *(idzie na zwiady, wpada z powrotem jak bomba, prawie ryczy):*

Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka!

BUJOCZEK:

Joker, co ty fulosz?

JOKER:

Breżniew uderzył w kalyndorz! Nie żyje! *(wszyscy skoczyli na równe nogi, z wrażenia oniemieli, potem podskakiwali i padali sobie w objęcia!)*

DOKTOR:

Lecę do mojej celi. Mają radio, możecie liczyć na wiadomości z pierwszej ręki!

BUJOCZEK:

Pieronie! Chopcy, cały sie trzynsa, uszczypnij mie kery! *(Joker czyni to)*

(Doktor wchodzi do celi z... uśmiechem Matki Boskiej Częstochowskiej!)

DOKTOR:

Lechu na wolności! *(i znów okrzyki radości, i uściski, i...)*

CHÓR INTERNOWANYCH *(z korytarza dobiega śpiew, który „cela 27” podchwytuje):*

Lechu, Lechu, Polska jest w potrzebie!
Kto ją uratuje, jeśli nie ma Ciebie?
Przyjdź i pociesz ją w najprostszych słowach
*A powstanie silna i moralnie zdrowa***.

RECHTOR:

Nie zdo wom sie, chłopy, że my rozpyntali taki bieg wydarzyń, kery nikomu sie niy śnił? A nasza głodówka jeszcze sie niy skończyła!

DOKTOR:

Msza niebawem. Uherce warte są mszy!

---

* Wyrób więźnia; Uherce specjalizowały się w medalionach wykonanych z monet.

** „Lechu, Lechu”, fragment. Autor Mirosław Kańtor z obozu w Zabrzu-Zaborzu.

Od autora

Istnieją nieliczne monografie obozów internowania, można znaleźć wspomnienia osób tam osadzonych, zdarzają się też tematyczne opowiadania. Nie spotkałem natomiast żadnej próby dramatu, choćby w formie jednoaktówki (pewnie źle szukałem).

Chciałbym tę lukę trochę wypełnić. Również po to, by pamięć o śląskich szlakach internowania przetrwała, i to w śląskiej gwarze. Uherce dla wielu z nas, internowanych Górnoślązaków, były ostatnim ośrodkiem poniewierki z czasów stanu wojennego. Tam bowiem 16 sierpnia 1982 roku przybyła grupa 51 internowanych (w tym 24 z regionu śląsko-dąbrowskiej „Solidarności") transportem z Grodkowa, do którego ściągnięto nas wcześniej z rozmaitych obozów.

Prezentowana jednoaktówka oparta została na autentycznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w tym obozie jesienią 1982 roku. Przytoczone fragmenty utworów poetyckich, zarówno oryginalnych, jak i tych napisanych do znanych melodii, pochodzą sprzed trzydziestu lat i zostały stworzone przez internowanych z różnych obozów, co zaznaczam w przypisach, a co razem stawało się własnością nas wszystkich, wzajem się utożsamiających, internowanych.

ALOJZ

Krystian Kokot

OSOBY:

ALOJZ – Mężczyzna szczupły i wysoki. Na ogół spokojny, odważny i opanowany. Choć ma trzydzieści siedem lat, to wygląda na dużo starszego. To ciężka fizyczna praca na dole w kopalni, którą wykonywał od wczesnej młodości, zmieniła jego wygląd zewnętrzny.

ACHIM – Jest w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Jest średniego wzrostu, o młodzieńczym wyglądzie.

STASIEK – To niski i wątły dwudziestosześcioletni człowiek. Pochodzący z tzw. Cidrów, obecnych okolic Bytomia, takich jak Stroszek, Radzionków czy Piekary.

NADZORCA – Potężny mężczyzna o dwumetrowym wzroście, rysach twarzy wskazujących, iż w przeszłości był bokserem lub po prostu lubiał się bić. Jego wiek można by określić na około czterdzieści lat.

AKT I

Miejsce akcji: Akcja rozgrywa się w miejscowości będącej w nieznacznej odległości od granic Górnego Śląska.

W półmroku, niczym przez mgłę ledwo można było dostrzec dwie postacie. Jedna leżała na czymś przypominającym łóżko. Druga przygarbiona siedzi przy jego boku. Pierwsza to Achim, a druga to Alojz.

ACHIM *(zmęczonym i przydławionym głosem pyta):*
Alojz, jak tyś mie sam znot?

ALOJZ:
Jo mioł szczynście, żeś tysz sam gynał kaj jo cylnoł. Po druge, żodyn niy umi tak fajnie charlać tak jak ty. Poza tym pora nos sam normalnie godo, reszta to cidroki *(delikatnie się uśmiecha).*

ACHIM:
Alojz, ty wiysz, znomy sie tyla lot. Jo zawsze na ciebie mog liczyć, ło wszystkim my się mogli pogodać, a tyś mi nigdy niy pedzioł, żeś mie łot śmierci wy-

ratowoł. Wiysz, niydowno tymu, nim żech sam cylnoł, moja kuzynka boła ze twojom matkom na jednym geburstaku. Dały sie do gotki ze twojom matkom. Kuzynka zaczła cie chwolić, jakiś ty zawsze czysty i wygalowany. Znały sie dobrze ze twojom matkom. Przez to twoja matka niy wyczimała i zaro cołko prowda ji pedziała.

„Niy zawdy tak boło. Roz, a boło to krotko przed Zaduszkami. Niy dość, że prziszoł do dom czorny jak świnia, to jeszcze mioł potargano bioło koszula i ancug, jedyny co mioł. Niy wiym, wiela mioł wtedy lot, ale jo mu żech coperzilym, tom warzechom, co miałach do pranio, nahuśtała. Dopiyro coch skonczoła żech sprzontać, a tyn mi wloz do chałpy ze swojymi czornymi harbołami". Mie sie to tyż przed Zaduszkami stało i tak jo sie dowiedzioł, fto tak richtik mie wyratowoł.

Czymu tyś mi zaros niy pedzioł? Przeca łaziołś mie doglondać, a jo gupi niy umiołch się kapnońć, skont ty to wiysz, że mie przisuło.

ALOJZ:

No to co jo mioł zrobić? Miołżech prziść i ci pedzieć: „Achim, to jo cie wyratowoł", żeby tyś sie musioł ze gańby spolić? Przeca wyuczony, we biorze siedzi. Chyba niy ma jym leko, tak żech sie myśloł, kej na baja we biydaszybie kopie.

ACHIM:

To wcale niy boło tak. Ty pamiyntosz, jak my bajtlami byli? Starziki nom łosprawiali rozmajte bery bojki: ło szczigach, utoplcach, co ludzi topiyli, ło dzioble Rokita, Skarbniku, co skarbow na dole pilnowoł, i że na dole gwizdać żeś niy mog, bo Skarbnik by sie mog pomyśleć, że to na niego gwizdosz, a wtedy niy mioł byś leko. Abo ło tym Goduli, co powoz ze dwoma czornymi koniami prowadzioł. Na dodatek boł bez łeby, a ze karku mu łogyń lecioł.

ALOJZ:

Jo tysz to słyszoł, ale ze tym Godulom to wcale niy boło to tak. Łon boł gajowy we włościach, ale tera już niy pamiyntom, czy to boło u Szawgoczow abo Balestrymow. Jak kery chcioł wlyść do lasu niy po swoje, to zaro go przegonioł. Strasznie sie to ludziom niy podobało i sie zgodali przeciw niymu. Łapli go we lesie i tak go zrombali, że ledwo przeżoł.

Łoszpeciyli mu przi tym gymba i ponoć uszkodziyli przirodzynie. Po tym wyglondoł tak strasznie, że wszyscy sie go boli. Niy boła sie go ino jedna mało dziołszka i łazioła go odwiedzać. Miała na imie Joasia. Łon sie jom potym za swe wzion i przepisoł ji cały majontek. Joasia zaś została żonom łot hrabiego Szawgocz.

No dali to już wiysz, co z niymi boło.

ACHIM:

Alojzku, niy gorsz sie, że ci przerywom, ale wiysz, jaki jo mom głod.

ALOJZ:

To dobro łoznaka, że je ci lepi. Sam mosz pora konckow chleba. Zbiyrołch twoj przidział, żebyś mioł, jak sie spamiyntosz.

Tera godom ci dali. We starym kościele je powoz, co bez dziyń truły ze niyboszczykami na kerchow wozi. Wieczorym, jak kierymu we lazarycie na Kuźnicy sie zmarło, to go wy wieczor powozym na kerchow do kapliczki wiyźli, potym woźnica jechoł po truła na Biskupice i jak wracoł, to zawsze koło stary chałpy łot Goduli. Woźnica na czorno boł łobleczony. Ze boku mioł dwie lampy na oliwa. Jak pryntko jechoł, to dym ze latarni przikrywoł mu gymba tak, że jom niy boło widać. Stont sie to wzionło. Nojwiyncy strachu mieli te, co mu to zrobiyli. Widać sumiynie ich żarło. Godali „Godula jedzie", choć łon już downo niy żoł.

ACHIM:

Niy ło tym jo chciołch godać. Pamiyntosz, jak ludzie godali, że łot zamku Szawgoczow do nowego kościoła je tunel. Tyn, coby tamtyndy hrabie pod ziymiom mogli do kościoła łazić rzykać. Że niyros widzieli, jak Fon Szawgocze ze podziymi kościoła wyłaziyli.

ALOJZ:

Achim, to som bajki. We podziymiach kościoła łon mioł swojich krewnych i nad niymi tam rzykali. Dugo przed mszom tam sleźli, tak że żodyn ich niy widzioł. Jak wyleźli, to ludzie myśleli, że tunelym przziszli.

ACHIM:

Niy, to niy je prowda. Mie starka łosprawiali, że do dworu ros beczki ze winym przziwiyźli.

Stary Kowolik jak jedna beczka zakuloł do piwnicy, to widzioł hrabie i hrabina, jak łotwarli drzwi, a za niymi boły słody na doł. Take duge, że końca niy boło widać. Hrabina we jednyj gorści czimała ksionżeczka do nabożyństwa, a we drugij różaniec. Hrabia mioł klucz i jak wleźli, to drzwi za sobom zawarli. Starka chciała Kowolika jeszcze ło coś spytać, ale niy zdonżoła, bo łon netko potym zemar na zapolynie puc. Wiysz, te moje kamraty ze placu coś tam ino kopali przi zamku łot hrabiow. To jo sie myśloł, że łoni worki ze tym, co nakopali, wynoszom po cichu, żeby sie żodyn niy dowiedzioł, że tego tunelu szukajom. Jo łot bajtla tego tunelu szukoł. Jak łoni sie poszli do dom, to jo zaros wloz do jejich dziury. Wisiało tam pora karbitek. Jedna żech łostawioł zaros jak sie włazi, a drugo żech wzion i poszołch łobejrzeć, czy już sie dokopali do tunelu. Jo zrobioł ino pora krokow i sie to wszystko zawaloło.

ACHIM (*na parę chwil zamilkł, pogrążając się w swoich myślach. Po chwili powiedział):*

Alojz, a skont tyś wiedzioł, że jo je pod tym zawaliskym?

ALOJZ:

Jo niy wiedzioł. Zaro ci powiym, jak to boło. Jo boł u łojca na grobie zrobić porzondek, umyć grob, wyciepnońć stare kwiotki. Potym jak żech szoł już nazot, to tak żech sie myśloł, że choć mom swoje lata, to łojca mi dali brakuje. Tak mało jo go mioł, bo przeca jak łon zginoł, to jo trocha co przestoł być bajtlym. Zaczynołech wtedy robota na grubie. Byli my na jedny zmianie ze łojcym. Łon boł za ołbersztajgra. Jak tompło, to my cało brygada chcieli tam lecieć łobejrzeć, co sie tam stało, ale nom niy doł, ino pedzioł: „Sam siećcie i sie niy ruszejcie stont". Som poszoł łobejrzeć, drugi roz tompło i go zabioło.

Nastąpiła chwila ciszy. Alojzowi popłynęły łzy z oczu.

ALOJZ:

Jo som go z dołu musiołch wywiyść. Jo sie tak wtedy myślołch, że jak by łon żoł, to my by łoba tera u niego we chałpie przi piecu siedzieli i fajka kurzyli, a jo bych mu z drzewa filipusy robioł, żeby mioł czym tabaka we swoji fajce zapolić. Tak we tych myślach jo szoł, że wloz żech na staro droga, co boła niż jom beszong ze torami przegrodzioł. Przeloz żech przez beszong. Zrobiołch jeszcze pora krokow, a tu hop, z dziury wyskoczoł mi dzioboł.

Cołki czorny, ze rogami, brotkom i świyconcymi gałami, aże mie cofło. Godom ci, som byś sie wystraszoł. Taki blask łot niego bioł, jo stanoł jak wryty. Przeca dziobłow niy ma, a sam przet tobom stoji i jeszcze beczy. Beczy? Samymu ze siebie mi sie chciało śmioć – stary a gupi. Wzionć koza za diobła. Zrobioło mi sie jom żol, sama we dziurze siedzi. Łapnołch jom za rogi i wyciongnołch jom ze dziury. Łod ni bioł szajn przez ta twoja karbitka powieszono zaro jak sie złazioło.

Do dwóch postaci przybliża się trzecia, to Stasiek.

STASIEK:

Alojz, a ty tysz żeś sam trefioł, tak jak my ze Bytomia?

ALOJZ:

Niy, mie prziwiyźli ze Mysłowic.

STASIEK:

Ło pieronie, jo słyszoł ło tych Mysłowicach, jak tam boło.

ALOJZ:

Niy boło leko.

STASIEK:

Chopy, a niy mocie tak casym coś do jedzynio?

ALOJZ:

Niy, przed chwilom my zjedli.

STASIEK:

Niy godej, Alojz, bo wiym, że mosz, bo som niy jysz, wiysz.

ALOJZ:

Spytej sie Achima, tera my to klapli.

ACHIM:

Ja, to je prowda.

Stasiek odchodzi.

ACHIM:

To tyś niy jot, ino mie żeś to szporowoł? I to jeszcze po Mysłowicach, co żeś tam boroku swoje przeszoł.

ALOJZ:

Ty sam żeś je czi dni, a jo dwa tydnie. Jo sie już zdonżoł spamiyntać, a ze tym chlebym to ponoć mo być lepi. Może chcesz już teraz spać?

ACHIM:

Niy, godej ło ty kozie dali.

ALOJZ:

Musza ci sie przziznać, jo ty dziury niy widziołch, a bołch taki zamyślony, że kejby niy ta koza, to som bych do ty dziury wlecioł. Koza tysz chyba dziury niy widziała i do ni wleciała. Zaro jak sie włazioło do dziury, stoły miechy ze wonglym. Łona na te miechy skokała, tak że tylne łapy mioła na miechu, a przednie przi rancie. Przi kerymś razie jak łeb wystawioła, jo łap jom za rogi i pociongnołch jom do gory. Koza poczuła grunt pod przednimi łapami i mie pocisła, tak że jo łobalołch sie na plecy. Wtedy łona po mie przelecioła i tela żech jom widzioł. Jo sie pomyśloł: „Te pierony same do dom poszli, a ło kozie zapomnieli". Wskoczołch do dziury, bo bołch ciekawy. Ło koniach, co przi fedrowaniu pomogały, toch żech słyszoł, ale ło kozach niy. Biera karbitka, a sam żodnych torow ani karytki na wongel, po co jym ta koza. Potym żech dopiyro przziszoł na to, że bez przipadek sam wleciała. Przeca wtedy jo zaczynoł na grubie, a zaroz sie wszystkiego niy wiy. Świyca, a sam wszystko zawalone. Tak sie myśla: „Jeszcze trocha, a biydno koza by tysz przziwaloło". Naroz słysza spot zawaliska, że wtoś mie woło. Zdowało mi się, że to łojciec mie woło. Wylazła mi gynsio skorka, łot szczewikow po mycka szildowa. To niy może być łon, przeca dwa roki już pizło, jak my go pochowali. Za chwila zaś słysza – wtoś woło.

Hercowa stoła, drzewa do zabudowy boło za tela; nic, ino fedrować. Szaket żech musiołch ściepnońć, żeby mi niy zawodzoł i musiołch drabko fedrować,

żeby tyn, co go przisuło, mi niy zemar przipatkym. Wtedy jo niy wiedzioł, że tam żeś jest ty. Ale niy gorszysz się ło to na mie, niy? Pra?

ACHIM:

Niy, kaj tam. Przeca żeś mie łot śmierci wyratowoł, kaj bych sie na ciebie mog gorszyć. Alojz, przestoń!

ALOJZ:

Jak jo cie wyciongnoł, toś ledwo dychoł. Jak jo zanios ciebie do twoji matki do dom, to mi sie zdowało, że niy poznała mie, ani tym bardzi ciebie. Tak godo do mie: „Po coś mi sam tego czornego berkmona przinios? Bier mi go nazot, ale to jusz!". Jo ji godom: „Przeca to wasz Achim, niy poznaliście go?". Ta paczi i godo: „Nowiuśkie galoty, jo go chyba zabija. Kajś ty, pieronie, boł, jo cie chyba zabija!". Na to jo ji godom: „Pytlino, przeca łon dycho, ino blank po leku. Prziwaloło go we biydaszybie, ledwo żech go wyratowoł". Na to łona w bek, musiało ji ło te galoty fest stoć. Jo sie godom: „To sie biera, bo jak sie spamiynto, to i mie tysz zabije".

ACHIM:

Ja, matka to mieli ciynszko rynka. Ty wiysz, Alojz. Chopcy mi godali, że na drugi dziyń, jak prziszli koło tego biydaszybu, to mieli nakopane dwie fory wonglo. Tego, coś ty tam nakopoł. Pedzieli: „Chyba sam dioboł musioł som kopać, bo my sam we sztyrech jedna fora ze biydom na dziyń fedrujymy, a sam wtoś za noc dwie fory nafedrowoł".

ALOJZ:

Nic ciynszkigo. Trocha na grubie by porobiyli, toby sie przibadali. Poza tym by sie nauczyli, że dejmy na to, jak pokład mo dwa metry, to sie go biere cały, a niy poł. Jeszcze źle zabudowali i zawał gotowy.

Do wnętrza pomieszczenia nagle napłynęła ogromna ilość światła. Ktoś otwierał drzwi potężne niczym wrota zamku.

DOZORCA:

Ale ałsztajgyn, rałs, ale rałs. Zi misse waszyn.

ACHIM:

Co łon godo?

ALOJZ:

Że wszystcy idymy sie kompać tam, na drugo strona. Poć, Achimku, pomoga ci stanońć.

Ludzie wolno podążali w kierunku budowli głęboko wkopanej w ziemię. Część ludzi była już w środku. W tym czasie Alojz i Achim zstępowali po schodkach prowadzących do wnętrza budowli.

ACHIM:

Może bołoby lepi, kejbyś mie wtedy niy uratowoł.

ALOJZ:

Achim, co ty godosz, pomyś sie, wela fajnych lot byś stracioł.

Schodzą w milczeniu po chwili...

ACHIM:

Alojz, ty mosz recht, szkoda by boło tych lot i tych we wiynkszości dobrych wspomniyń. Niy miołchby tysz ciebie, mojego nojlepszego kamrata.

Gdy wszyscy weszli, podwójne metalowe drzwi zamknęły się za nimi z charakterystycznym dźwiękiem przypominającym zamykanie ciężkich metalowych wrót wagonu kolejowego. Po chwili dał się słyszeć szum przypominający wsypywanie do metalowej rynny drobnych kamyczków. Kamyczki ocierały się o rynnę i wpadały do pomieszczenia, w którym znajdowali się Alojz, Achim i cała reszta ludzi.

ACHIM:

Alojz, co to je?

ALOJZ:

Cyklon B.

ACHIM:

Alojz, to je już nasz koniec?

ALOJZ:

Niy. Do nos, katolikow, to niy je koniec, ino poczontek nowy drogi. Tera mogymy jeszcze porzykać, żeby Ponboczek choć ze gory pozwoloł nom pilnować nasze familije. Ino tyla mogymy do nich zrobić.

Obaj położyli swoje ręce na ramionach przyjaciela. Pochłonięci modlitwą umierali, nie zwracając uwagi na otaczający ich świat. Mieli coś, czego nie mieli inni więźniowie obozu koncentracyjnego Oświęcim Brzezinka, mieli siebie...

Od autora

Modlitwa Alojza została wysłuchana. Będący w odwrocie niemiecki okupant postanowił rozstrzelać rodziny wrogów Trzeciej Rzeszy. Na liście była też rodzina Alojza. Szczęśliwym trafem Armia Czerwona, wykonując manewr okrążający Górny Śląsk, zmusiła Niemców do szybkiej ucieczki. Dzięki temu rodzina Alojza i wiele innych rodzin ocalało. Trumny przeznaczone dla nich, zawczasu przygotowane i umieszczone w Domu Narodowym na ulicy Szczęść Boże w Rudzie Śląskiej, okazały się dla tych rodzin niepotrzebne. Utwór ten napisałem nie dlatego, iż sam czułem taką potrzebę. Napisałem to ze względu na Alojza. Alojz był człowiekiem prawym, który miał siłę i odwagę, by się przeciwstawić złu, które go otaczało, bez względu na konsekwencje. W dzisiejszych czasach spotkać takiego kogoś to rzadkość.

Napisałem to, gdyż czuję, że jestem mu to po prostu winien.

A to, że Alojz to moj starzik, to już je całkym inno sprawa.

MANTEL OD STARZIKA

Lidia Michalska

OSOBY:
TRUDKA – tak kole piyndziesiontki, całkiym szwarno jeszcze
JORGUŚ – Trudzi chłop, trocha starszy i grubszy
JUSTYNKA – ich cera, tak dwadziścia pora lot
STARKA – matka Trudki, od nij lot sie już nie liczy

Izba w chałupie, raczyj tako gościnno, bo z piyknie posłanym łożkiym, nad nim stare ślubne zdjynci.

TRUDKA:
Siednijcie se, mamo, musza wom coś pedzieć.

STARKA:
Co, zaś kaj wyjyżdżocie? Wy nic, ino do flugu – fiuuuu i już was ni ma. Za te pinondze to już byście chałupa dzieciom postawili, dyć bauplac mocie. A kiedyś ludzie tela po świecie nie flugowali, a też jakoś użyli.

TRUDKA:
No właśnie, mamo, o dzieciach chca z wami pogodać... Nasza Justynka sie wydawać bydzie...

STARKA:
No ja! Jo to wiedziała, że tak bydzie. Łona je tako jak wy, tyż minuty nie usiednie, yno jom kajś nosi. Nosiło, nosiło, no i aż se przziniosła!

TRUDKA:
Ale dyć czy to łona piyrszo? Nie ona jedna tak ku ołtarzu pójdzie. Tera som inksze czasy, żodnymu to nima dziwne. Dyć ani jo, ani wyście świynci nie byli...

STARKA:
Ty sie ody mie... Ty wiysz co! Tym bardzij – samaś gupio była, toś miała dziołchy tak pilnować, żeby w doma usiedziała, coby mondrzejszo była! Ale wyście łod samego poczontku za tela swobody jej dowali i tera mocie. Zresztom, wyście i nawet miano gupi dali: Justynka. Choby już inkszych, gryfniejszych mianow nie było: Yma, Hyjdla, Rouza – to som miana do porzondnej, naszej dziołchy, a nie tam jakoś Justyna! I tera co? Weseli trza robić!

TRUDKA:

No właśnie, mamo, weseli... Wiycie, że my sie tera z piniyndzy wypłokali: plac sie nowy robiyło, auto zmiyniło, a tu tera taki koszta! Dociepniecie sie co do tego weselo? Pyndzyjo mocie cołkiym piykno, ni możecie narzekać.

STARKA:

No i łobejrzyjcie se! Przedtym sie moigo wianka tykała, tera moij pyndzyje! Ty mi lepij pomoż, bo ja mom łogromno starość!

TRUDKA:

Jako wy też mogiecie starość mieć? Chyba yno ta w papiorach?

STARKA:

A dej ty mi spokoj – mantel sie stracioł!

TRUDKA:

Jezderkusie! Jaki zaś mantel? Dyć mo mama mantel! Onskirok my go na torgu kupowały! I jeszcze tyn starszy, na kożdy dziyn, i tyn czorny na pogrzeby, i tyn modry... Dyć wy, mamo, mocie wiyncyj szmot jak jo!

STARKA:

Na dyć nie moj... Łod Alojza mantel – tyn nojlepszy czorny, z kraglym.

TRUDKA:

Dyć starzik, znaczy sie łojciec, już 15 lot, jak nie żyje, na co mu tera mantel?! Wom sie już chyba durch wszystko poprzestawiało!

STARKA:

Nic mi sie nic poprzestawiało. Póki mantla nie znojda, ani o weselu nie myśla! Ida go szukać.

Wyłazi. W dźwiyrzach mijo sie z Jorgusiym.

JORGUŚ:

A ta zaś kaj łodlatuje?

TRUDKA:

Cicho bydź, jeszcze cie bydzie słyszeć. Wiysz, jacy som ci starzi, co chcom, to usłyszom. Zresztom tyś je taki som, tyż już mosz swoi lata.

JORGUŚ:

A co ciebie zaś babo ugryzło?

TRUDKA:

Ani mi nie godej. Godom mamie o tym weselu, że trza robić – myślałach, że sie co dociepnie, chocioż na kołocz. Ale nic, ani dychu, yno o jakimś pierzińskim mantlu godo, co sie niby stracioł!

JORGUŚ:

Co, już skleroza mo? Mantel sie ji traci?

TRUDKA:

Przestoń, łojca mantel – naroz chce go znojść, jakby inkszych starości nie było. Tu weseli trza na gibko robić, a ona mantla szuko! Ty sie człowieku starej, za co to wszystko – gości poprosić, kołocz upiyc, postroić sie i jeszcze chałupa wyszykować. Niby weselo sie w chałupie nie robi, ale kożdy potym i tak se łobejrzi, jako miyszkomy!

JORGUŚ:

Weseli sie zrobi, na jaki nom styknie. Nie my piyrsi dziołcha wydowomy! Mie gryzie co inkszego!

TRUDKA:

Co? Robok?

JORGUŚ:

Ni... Ziyncia mom niby mieć, tak żech przinajmnij słyszoł, a tu żodyn mie jeszcze o rynka Justynki nie prosioł. Jeij prziszłych teściow tyż żech jeszcze na łoczy nie widzioł. Żadnych smowow jeszcze nie było, no i... nie przepili my jeszcze flaszeczki z ziynciym!

TRUDKA:

Dej ty mi pokoj – dyć wiysz, że na prziszło niedziela przichodzom, coby sie wszystko jak trza łodbyło. Z wami to też wytrzimać nie idzie – tyn o flaszce, ta o mantlu!

JORGUŚ:

Ale doczkej. Wiysz co, jo tak miarkuja, że w tym mantlu to może coś być schowane! ,

TRUDKA:

Chyba piytnoście lot stare amoloki, bo te bombony to łojciec zawsze cyckoł, żeby przed matkom sie nie wydało, że łon sztyjc kurzi, a łona i tak wszystko wiedziała.

JORGUŚ:

Ale Truda... Ty nie pamiyntosz, boś wtedy w cionży z naszym Wojtusiym chodziła, ale tak na rok przed śmierciom ludzie godali, że nasz, to znaczy twoj łojciec wygroł coś w karty, chyba łod Fridka spod lasa. No a Fridek, żeby go spłacić, doł mu jakiś złote piniyondze, co se je z wojny przziwioz. I twoja matka właśnie tych piniyndzy szuko!

TRUDKA:

Jorguś, nie piniyndzy, ino mantla!

JORGUŚ:

A ty myślisz, że ona je tako gupio, żeby mantla szukać?! Trudka, on na pewno te piniyondze złote w mantlu zaszoł! I ona teraz tego szuko, bo chce na Justynkowe weseli dać!

TRUDKA:

Jezderkusie, Jorguś, to trza tych piniyndzy szukać! Wołej Justynka!

Jorguś wychodzi i słychać, jak woło swoja cera. Justynka przichodzi.

JUSTYNKA:

Co, mamo?

TRUDA:

Justynka, a coś ty je tako uślimtano zaś?

JUSTYNKA:

Mamo, mama sie jeszcze pyto?

TRUDKA:

Ale Justynka, ty teraz ni możesz sie starać, bo ci sie jeszcze dziecko świdrate abo rude urodzi. Nie starej sie, zrobiymy ci piykne weseli, gości sie sprosi choćby i na trzi dni! Wszystki koleżanki se możesz poprosić.

JUSTYNKA:

Mamo, ale my by chcieli skromne weseli, taki do czterdziści ludzi, jedyn dziyń. Jo wola te studia skończyć.

TRUDKA:

Tyś oszalała! Taki wesela to se mogom mieć te wszystki artystki z Warszawy, co i piynć wesel w życiu majom, żeby było co o nich w gazetach pisać. Po moim trupie – ty bydziesz miała porzondne weseli, yno jedno w życiu. A o studia sie nie starej, przyndziesz na zaoczne. Dzieckiym też ci sie pomogiymy zajonć – powiym ci, że to nawet dobrze, bo ojciec na tej pyndzyi to już chyba całkiym zgupnie, abo pryndzyj jo z nim! Ty wiysz, że on już kole jedynostej za obiadym zaglondo? A sztwierć na szosto za wieczerzom? On zgup! Dyć wtedy mój film leci!

JUSTYNKA:

Mamo, ale moi studia!

TRUDKA:

A tam, studia studiami, godej se, że tak miało być i już, rzykej yno, żeby dziecko zdrowe było. Justynko, a powiydz ty mi, jak żeś ostatnio na Wielkanoc chałupa tak porzondnie sprzontała, nie znodłaś tak kaj takigo starzikowego czornego mantla? Wiysz, takigo co go za młodu nosioł do kościoła?

JUSTYNKA:

Mama, dyć starzik już tela lot nie żyje – jo yno pamiyntom, że on fajfka cały czas kurzoł, a potym amoloki cyckoł. No i w karty mie nauczoł grać, żech potym wszystkich synkow w klasie ograła.

Jak to godo, wchodzi Jorguś i słocho

TRUDKA:

Dziołcha! To dobrze, że ty sie jednak wydosz!

JORGUŚ:

Ty yno o tym weselu, a o mantel żeś pytała?

TRUDKA:

Ja, pytałach, ale ona nic nie pamiynto.

JUSTYNKA:

Mamo, jo zaś tak gupio ni ma – powiydz mi, czamu wy tak tego mantla szukocie?

TRUDKA:

Jo ci powiym, ale ciiiicho siedź... Abo ni – ojciec, ty i powiydz, bo jo jakoś nie umia.

JORGUŚ:

No prosto z mostu – w mantlu starka mo piniyondze zaszyte!

JUSTYNKA:

W mantlu???

JORGUŚ:

Ja, w mantlu – i za te piniyondze my ci fest wielki weseli zrobiymy, yno pryndzyj muszymy ta pierońsko szmata znojść.

JUSTYNKA:

Jezderkusie, teraz jak żeś padoł „szmata", to mi sie coś spomniało!

TRUDKA:

Godej, godej!

JUSTYNKA:

Mie sie zdo, że jakiś szmaty po starziku to ciotka Hilda wziyna, do tych swoich synków – nierobów, żeby mieli w czym kole chałupy łazić, jakby sie im tak przipadkiym robić kiedy zachciało.

JORGUŚ:

Ja. To teraz po ptokach. I po piniyondzach.

TRUDKA:

Ale ta Hilda zawsze tako chytro była! Widzicie jom, jak nas oszwabiła – niby że lonty do synków som potrzebne! Do roboty kole chałupy, jakby te lebry kiedy chocioż palcym kiwły. Ona już tam dobrze wiedziała, czego szukać. Widzicie jom, jak sie wzbogaciła na naszej krziwdzie.

JORGUŚ:

No bo to też widać – synki nic nie robiom, ona też nigdy nie robiła, pola konsek, a chałupa jako gryfno majom, zegrodka jak z gazety, auto i telewizor na poł ściany. I to wszystko niby z tej pyndzyje po chłopie?

TRUDKA:

I to wszystko na naszej krziwdzie! I jako my tera to weseli zrobiymy?

JUSTYNKA:

Mamo, nie starej sie, dyć jo ci godała, nie chca wielkigo weselo, nawet suknie nowej nie potrzebuja.

TRUDKA:

Justynka, ty mie już nie dobijej. Choćbych miała sie wściec, to moja dziołcha bydzie miała porzondne weseli.

JORGUŚ:

A twoij matce trza pedzieć, że mo już nie szukać, bo jeszcze z czego spadnie i wiyncyj nieszczynścio bydzie!

TRUDKA:

Ty, Jorguś, powiydz bo jo całkiym siły straciła, abo zawołej jom, to tu przidzie.

JORGUŚ *(woło w dźwiyrzach):*

Starko, podźcie tu sam ino! Podźcie tu!

GŁOS STARKI:

Zaro, yno jeszcze ta dziesiontka skończa!

TRUDKA:

Ta Hilda, ta Hilda tako chytro! Młodszo siostra – pamiyntom, jak my sie do szranku chowały, pod stołym abo za gardinkom. A jak kiedyś my sie pod łożko schowały, to... Jezderkusie!!! Jorguś!

JORGUŚ:

No co, no co sie stało?

TRUDKA:

Nic... Jorguś, jo wiym, kaj je tyn mantel!

JORGUŚ:

No dyć, to my już godali – u Hildy.

TRUDKA:

Niii, Jorguś, niech mi Ponboczek wyboczy, co jo o Hildzie godała! Tyn mantel je tu, w tej izbie! Jo se spomniała, jak żech zaczła o łożku godać...

JUSTYNKA:

Ale mama, co?!

TRUDKA:

To je to samo łożko, co my sie pod nim z Hildom chowały! Jo je zostawiła, bo szkoda taki jeszcze całkiym dobre wyciepać i dołach tu do tej izby. A żeby od delofki nie ciongło, toch pod materace podłożyła dwa stare mantle! Jedyn moj, a jedyn od starzika, znaczy się od ojca!

JUSTYNKA:

To, tata, wyciongnij go!

JORGUŚ:

A dyć już wyciongom, poczkejcie chwila!

Wyciongo mantel, wchodzi Starka.

STARKA:

Je, widza, że sie tyn mantel znod! Jak też dobrze! Dej mi go tu zaroz...

TRUDKA:

No i co teraz mamo? I co tera zrobicie?

JORGUŚ:

No i co powiycie? Co wy na to?

JUSTYNKA:

Babcio, i co dalij? Co z tym mantlym?

STARKA:

Nic, co mo być? Powiesza se go do szranku.

TRUDKA:

Mamo, ale to po co my go szukali?

STARKA:

Po nic – dyć wiycie, że jo je ogromnie rada, jak wiym, kaj co mom.

JORGUŚ:

To w tym mantlu nic ni ma?

STARKA:

A co mo być w mantlu? Tyś dzisio w barze boł? Ty myślisz, że do mantla sie do skarb schować? Widzisz, coś je – woniaczka z naszego weselo, jeszcze konsek zostoł, chocioż to już tela lot: konsek gałonzki i szlajfka, reszta sie pokruszyła. Pamiyntom, jak zaro na drugi dziyń po weselu schowoł jom do tej małej kapsiczki i padoł, że na zawsze tam zostanie. No i została.

JUSTYNKA:

Babciu, jo starzika nie znała od tej strony.

STARKA:

Bo, Justynko, żeby człowieka poznać, to całego życio ci czasym nie styknie – ale jo już wtedy wiedziała, że on mie ogromnie kocho – kiery chłop by sie konskiem szlajfki tak przejmowoł. Jo ci, Justynko, takigo chłopa życza – a to weź se na pamiontka, żebyś wiedziała, że czasym po zwykłej szlajfce poznać, że ci chłop przaje.

TRUDKA:

I co z tym weselym tera bydzie...

STARKA:

Nic nic bydzie – weseli bydzie, muzyka bydzie, bydymy sie cieszyć i sie bawić. I wiycie co? Jeszcze se i wasza starka na tym weselu potańcuje! I pośpiywo!

JAK TO NA SOMPIYRWYJ BYŁO

Joanna Sodzawiczny

OSOBY:
PONBOCZEK
ADAM
EWA
DIOBOŁ

SCENA I

(Ponboczek łazi po łogrodzie i myśli)

PONBOCZEK:

No i praje gotowe, już mom i słonko, i mom miesiączek, zrobiłech dynka i inksze bambetle, mom ptoszki, kwiotki i mom tyż gowiydź. Jo je tymu rod. Ha, muszą przyznać, że mom do tego grajfka. …Yno jeszcze mi tukej czegoś brakuje... Czegoś gryfnego tak na łostatek. Już wiym! Zrobia jakigo karlusa. A tak żeby mi sam niy było smętno. Wezna ciaplyty i go ulepia. Tu bydom szłapy, a tu bebechy. Łeb mu ukulom taki kudłaty. Ha! Wyloz bachraty, w sumie wyzgerny! I leży jak umrzik... Musza na niego pochuchać... A co potym bydzie, to zoboczymy...

Adam próbuje coś pedzieć, ale niy umi.

PONBOCZEK:

Co ty tam charczysz? Godać niy umisz? Chyrtoń ci odpod? Już go przylepia. No i fertig. Tera już lepi? Zaś nic niy godosz? Niy mosz w gymbie języka? Aaa, niy wiysz po jakimu? Więc tak jo padom: Bydziesz ty chopie godoł po moimu, po ślonsku... Bo jo tyn Istny, jo tyn Jedyny, jo je Ponboczek. Kapujesz? To tera se chopie wybier som miano.

ADAM:

To jo by chcioł Alojz, abo... abo Gustlik.

PONBOCZEK *(w zamyśleniu):*

Wiysz, gryfnie się sucho, ale te imię bydzie na zawsze. Na twoje miano można bydom pieronić, bydom je szkryflać w heftach rozmajtych. Wierz mi, bo Jo już wiym, co bydzie. Wybier se inksze.

ADAM:

No to mi pomoż.

PONBOCZEK:

Kurde, niy moga. Bo widzisz, jak jo ci je dom, to bydziesz musioł się mie suchać, a jo se wymyślił, że ty bydziesz tukej bambrym. Tu bydzie twój haimat i ty bydziesz rządził w tym łogrodku.

ADAM:

To może Adam?

PONBOCZEK:

Adam? Adam? Adam pasuje. Tera dowej pozor. Wszystko, co tu widzisz, musisz nazwać i wtedy to wszystko bydzie cie suchać. Jo ci to godom!

ADAM *(najpierw z niedowierzaniem):*

Naprowdy wszystko? Moga zaczynać? Zaczna od dołu: te, co tak ryjom, to bydom glizdy, łażom chroboki, ta wielko czorno bydzie masara. Nad nimi te małe to bydom grziby, czerwony – prawok, sine kozoki, zajączok bronotny, a tyn ryszawy to bydzie maślok, reszta to bedły. Nad nimi te piykne... kwiotki im bydzie: nelki i tulpy, biołe sierotki, tu boliłoczka, tam dombki, mlecze... Jak łone piyknie woniają! Nad nimi lotać bydzie szmaterlok blank kolorowy. Do zmaszkecynio nazwia pozimki, łostyngi, jagodki, wieprzki. Bydom smakować wszystkim stworzeniom. W łogrodzie sadzić byda kartofle, na sztynglu bydom fandzole rosnąć, potym szałoty, sznitlochu trocha, no i marekwia, ta modro ćwikła, łostre radiski i oberiba, a tyn łoszkliwy to bydzie blomkuł. A te na wiyrchu, co liście mają, to bydom drzewa: płonki i cześnie.

W lesie to bydom rosły pokrziwy, nad nimi flider, brzimy łogromne. W przykopie taplać się bydom kaczki, a rapitołzy bydom kumkały. Tera ta gowiedź cało mianuja, tu loce kokot, a za nim kura z tymi małymi. Pilynta im bydzie. Tyn wielki to pultok, a myńsze perliczki. Jo byda chowoł piykne cukrówki i nimi zawsze się byda asić. Na ratkach lotać bydom gusiki, kozy, barany, krowie z wymiączek poleci mlyko...

PONBOCZEK:

Dość! Styknie, fajrant na dzisioj. Idź se polotać, jo ida dychnąć. Bez cołki tydzień ciężko żech robił. Sobota wieczor; trza się okompać. Jutro niedziela, byda se leżoł. Aniołki tyju mi naszykują i możno szpajza jako zrychtują.

SCENA II

Ponboczek odpoczywa, Adam odchodzi, jednak po chwili wraca i nieśmiało zagaduje.

ADAM:

Ponboczku?

PONBOCZEK:

Co byś ty chcioł, Adasiu?

ADAM:

No bo jo sie tu tak łaża i łaża i pacza i widza, żeś ty wszystko podwójne zrobił, a jo taki som... Cni mi się i som niy wiym do czego...

PONBOCZEK:

I beztoś ty taki markotny? Doczkej, zaro tymu zaradzymy. Hmmm, podź sam bliży, musza ci konsek żebra wyciągnąć. Zrobia ci do towarzystwa piykno frelka. Łona z ciebie bydzie.

Widzisz: bydzie miała szłapki jak sarynka, paple ji zrobiemy czerwone jak piwonie, ślypia modre, a tu role bydzie miała, cało tako szykowno bydzie. Co, Adam, podobo ci się?

ADAM:

Ponboczku, a szło by ją tako bardzi puklato tu z przodku zrobić?

PONBOCZEK:

Niy drożnij mie... Ale mosz mieć, dziwej się, jako szwarno.

ADAM *(już kuko na Ewa, a łona na niego):*

Piyknie ci dziynkuja.

PONBOCZEK:

Tera mie suchejcie: cołki tyn zagrodek i to, co w nim widzicie, to bydzie wasze i wom to bydzie służyło. Wy sam bydziecie żyć do kupy jak mój z mojom. Jedno, co wom godom, to że niy idzie srywać płonek z ty gałynzie, co tam w środku rośnie. I dowejcie na to pozor, bo się byda fest gorszył.

Ponboczek odchodzi, Adam do Ewy zagaduje.

ADAM:

Jo je Adam, a ty jak się chcesz mianować?

EWA:

Jo? Niy wiym...

ADAM:

No pacz, musisz sama se wybrać imię, tak coby żodyn niy mog tobom rzondzić. Ponboczek mi pedzioł, że tak mo być. No to se obier jake.

EWA:

To jo możno byda Ewa...

ADAM:

Mie to pasuje. To co bydymy tera robić? Może cie pokludza i pokoża, kaj co je?

I tak łazili, aż Ewa padła.

EWA:

Adam, mogymy się sam zicnąć? Bo mnie już szłapy bolom. A tu je tak piyknie i tak fajnie ptoszki ćwiyrkają.

ADAM *(krzyczy):*

Ewa, dej pozor, niy siadej tukej, bo sam zgnito apluzina leży, całobyś się zmarasiła... Tera musisz mi dać kusika za to, żech cie uratowoł.

EWA:

Dej pokój, bydziesz mie sam napasztowoł. Jo by ci dała dziubka, ale nos bydom widzieć...

ADAM:

A wto cie sam łobejrzy? Chyba jedynie te sorniki? Dyć my tu som sami. Yno nos Ponboczek złonaczył. Mie piyrwszego, a potem ciebie... tako maszketno.

EWA:

Niy przychlybiej się do mie. Adam, ale jo już głodu dostała, niy mosz tam kaj co? Pacz, tam je gałynź z jabkami... Urwij mi jedne...

ADAM:

Zgupiałaś? Dyć to je te drzewo, kerego sie momy niy chytać. Doczkej chwila, zaro ci przyniesa, widziołech, że tomaty już zeżdżalały, a i kyjza możno już bydzie dobro... Ty se tu poleż, a nic niy nazgłob. Jak przida nazot, to zaś bydymy zolycić.

Adam wyłazi.

SCENA III

Ewa leży i naroz słyszy:

DIOBOŁ:

E, dziołcho. Pst... pst...

EWA:

Wto sam je? Niych się pokoże.

DIOBOŁ:

Ty niy bydź tako wylynkano, to yno jo...

EWA:

Jo... jo... Ale jaki jo?

DIOBOŁ:

Niy bydź tako docierno, przidzie czas, to się dowiysz...

EWA:

Dej mi pokój, bo zaro Adama zawołom...

DIOBOŁ:

A wołej, wołej, widziołech go, jak ci jeść rychtowoł... Musza pedzieć, że tak na wos pacza i widza, że wy se richtig przajecie... A skąd żeście się tu skludzili?

EWA:

My się niy skludzali, nos Ponboczek złonaczył. Przodzi Adama, a potym mie. I padoł, że my sam mogymy urzyndować.

DIOBOŁ:

W cołkim łogrodku? I na wszystko mocie zwola?

EWA:

No ja!... No tak po prowdzie to niy na wszystko. Widzisz tam ta gałyńź na środku? No to yno z tego drzewa niy śmiymy srywać płonek...

DIOBOŁ:

Aaaaa, nojlepsze do sia zostawił...

EWA:

Wcale że niy, inksze tyż som dobre, my sam momy fol wszystkiego, a Ponboczek je taki dobry...

DIOBOŁ:

Jak je taki dobry, to się niy bydzie gorszył, jak se jedne jabko urwiesz...

EWA:

Ale na co?

DIOBOŁ:

Na co... Na co... No jak wom pedzioł, że wszystko możecie, to czamu niy urwiesz se jabka?

EWA:

Bo niy chca...

DIOBOŁ:

Smolisz! I jeszcze mi wmawiej, że ci to bez łeb nie przeszło? Na pewno jeżeś ciekawo, jak łone smakuje. Padom ci, urwij i bajsnij. Przeca sam żodnego niy ma, żodnyn niy bydzie widzioł.

EWA:

Nale...

DIOBOŁ:

No, niy łonacz się. Jak padoł, że doł wom wszystko, to wszystko. Jak czegoś niy możesz, to znaczy, że niy ty tukej rzondzisz. To Ponboczek sam rzondzi i mo być tak, jak łon godo... A przeca pedzioł, że to wy mocie rzondzić… Toż rwij...

Ewa z ocionganiem, ale rwie jabko i gryzie.

EWA:

Jake to je dobre. Mniach... Lepszegoch nikaj niy jadła...

Na to włazi Adam, Dioboł wskakuje w krzoki.

ADAM:

Babo, co ty robisz?

EWA:

Na! Bajsnij se tyż...

ADAM:

Coś to zrobiła? Czamuś niy usuchnyła? Jak się Ponboczek dowie...

Ale Ewa już bajsła i łotwarły się ij ślypia.

EWA:

To się dowie! Skończ mi sam fulać, mazoku jedyn, dyć to my som tukej bambry...

ADAM:

I na co ci to było? Na dekel ci pizło? Mało tukej augustek... Babo, ty wiysz, coś ty narobiła??? Tera bydymy mieli z gorki. Ponboczek był do nos taki dobry. Tak nom pszoł, a tyś skuli jednego jabka wszystko zmaściła... Jak łon nos spieroni...

Adam kończy z płaczem prawie.

EWA *(z coroz myńszą pewnością):*

Jo mu godała, że jo niy chca, ale łon pedzioł, że tak musi być, że…

ADAM:

Doczkej chwila, jaki łon?

EWA:

Przyszoł sam taki jedyn kabociorz, i tak mi godoł i godoł, aż mie cołkiem zbamącił. Ale jo niy chciała... Adam, co my tera zrobiymy...?

ADAM:

No, niy ślimtej już, zaro coś wymyśla. Pierwsze to jo tyż ugryza. Jo cie tu chcioł, tyś je moja baba. Co by się nie dzioło, to się bydymy trzimać do kupy.

Adam gryzie jabko, słychać kroki.

PONBOCZEK:

Adam! Ewa! Kajście som?

ADAM *(do Ewy szeptem):*

Drabko w krzoki.

PONBOCZEK:

Adam, wylazuj!

ADAM:

Ponboczku, ale jo je sagi.

PONBOCZEK:

I tu cie mom, skąd wiesz, żeś sagi? Wfo ci pedzioł? Lepi się przyznej, coście napochali!

Adam i Ewa wyłażą s krzoków.

ADAM:

No bo my bajsli płonka z tego drzewa, coś nom zakozoł...

EWA:

Ale to skuli mie... To jo się dała przekabacić... Tyn pieron schacharzony tak gładko godoł i godoł, że mi w łepie namiyszoł... Niy gorsz się na nos...

PONBOCZEK:

Gorszyć się niy gorsza, ynoście mi wielkigo starania zrobili. Jo się liczył... Nieważne... Tera moje liczynia nie warte fonta kłaków. Godali mi anieli, że to bydzie daremny futer z wami, ale jo myśloł inaczy... Zoł wi zoł kara musi być. Naprzod dować sam tego, co tak nabamącił.

Dioboł wyłazi z ociąganiem, widać, że go jakoś siła przyciągo.

PONBOCZEK:

Poznaja cie... I wcale żech nie ma rod, że cie widza... Jak żeś taki nabzdurnik i nasfol żeś narobił tyj ostudy, to... od tera do końca świata bydziesz bebechem po delofce targoł. Ty i twoje miano bydzie się yno z najgorszym kojarzyć. Nie bydziesz mioł wstępu do Moi Chałpy, a Jo pośla na Ziym Kogoś, wto cie do ostatka pokono... Tera idź mi raus. Troć mi się ze łoczow.

Diobła wyfurgło. Ponboczek patrzy w zamyśleniu na ludzi i tak godo:

PONBOCZEK:

Tera na wos przyszoł dran. Za to, żeście mie nie usuchli, żeście nie mieli we mie ufności, żeście popsuli to, co Jo na zicher zrobił... Za kara... pódziecie na Ziym... Tam bydziecie mieszkać i tam bydziecie robić... Ewa, ty bydziesz dziecka w bólu rodziła... Bydzie cie nerwowało wszystko nałokoło, chop ci bydzie na bzdury robił, bajtle bydom nieusuchliwe, weksli dostaniesz na starość i bydzie z ciebie małpica wyłaziła... Adam, ty bydziesz na grubie tyroł, sztajger bydzie po ciebie ryczoł, a jak do dom przidziesz, to cie jeszcze teściowo drożnić bydzie, a baba cołki czos łeb bydzie boloł. Niy łobejrzycie wy już tego zegrodka, nikaj niy znojdziecie takiego szczyńścio, jake tu by wos czekało… Ale bydzie wom tyż dobrze... Bajtle pociecha wom przyniesom, bydziecie se pszoli i Mie pszoć bydziecie. Na łoczy Mie już niy zoboczycie. Ale pamiyntejcie, że Jo zawsze przy wos byda. Kiedyś, za pora lot, pośla Jo ku wom Kogoś, wto to wszystko naprawi... Ale niy teraz. Potym. Ciście już...

HALUCKI

Maciej Sojka

OBSADA:
KOCYBINO – żona Jorga
JORG, JERZYK – monż Kocybiny
KORPYSOWO – sonsiadka z piyrszego sztoku

Marzec, piyrszo połowa lot 90. Familok na Cwajce we Chorzowie. Druge piyntro. Ajncla z kaflowym piecym. Izba przedzielono gardinom. Jasno. Za gardinom dwie leżanki, kachlok i kołkastla. Przed gardinom stoł i dwa fotele. Gro telewizor. Na fotelu przed telewizorym siedzi Jorg. Nogi mo wyciongniynte na rycce. Na stole stoi szolka z tyjem. Jorg przeciepuje kanały pilotym. Po kuchnie krynci się jego żona – Kocybino. Na piecu, w gorcku, bulgoto wrzontek.

KOCYBINO *(woło z kuchnie):*
Jorg, wiela ci zgrzoć?
JORG:
Dwie!
KOCYBINO:
Ino dwie? Pewnyś jest? Mom trzy fajne lony ślonskij.
JORG:
Godołech ci, że sca ino dwie. Na noc niy jym za fest, bo mi sie potym mary sniom.
KOCYBINO:
A idź zys, idź zys. Zowżdy żeś czi poradził wtranżolić, terozki jakeś mary ci sie sniom, pieronie.
JORG:
Ja, mary, take jak ty. Dbom ło linija.
KOCYBINO:
Co? Ty ło linija? Chopie, jo cie niy poznaja. A może ty tam kogoś mosz?
JORG:
Ja, mom. Ciebie mom. Dowyj już tyn wuszt, bo mie w bebechu burcy. Ino zynftu niy zapomnij wzionć ze sobom.

Kocybino wyciongo wuszty z wody, daje je na talyrz, biere do jednyj rynki noż i widelec, do drugij rynki krauza zynftu i idzie do izby. Stawio wszysko na stoł, chopowi pod nos. Sama zaś siado naprzeciw niego i paczy.

JORG:

Co paczysz na mie? Szteruje mie to, pieronie! Na telewizor sie pacz. Kryminalny leci.

KOCYBINO:

Jo tak lubia paczeć, jak ty jysz. Smakuje ci?

JORG *(jy, sciongo skora z wuszta i tonko w zynfcie):*

Ja! Kajś kupiła te wuszty?

KOCYBINO:

U Tomale.

JORG:

No to się Tomala poprawioł. Zowżydy jak my mieli łod niygo wuszty, to tego pieronie jeś niy szło. W gardle stowało. Terozki nawet mie smakuje. Musza tam ino kejś zajś do niygo i mu pedzieć, że idzie w ślady swojego łojca.

KOCYBINO:

Po jakiymu?

JORG:

Widzis. Nojsamprzod, pora lot nazot, jego fater pas świynia w chlywiku. Jak jom wypas, to zrobioł świyniobicie. Cały familok czynstowoł wusztym. Ludziom zasmakowało i późnij łaziyli sie pytać do starego Tomale, kej zaś bydom wuszty. A stary Tomala mioł szmergla do interesu, dugo niy myśloł, a że boł już na pynzyji, mioł kupa czasu i mioł uszporowany gelt, to kupioł łogródek. Postawioł w niym lauba i do lauby kupioł dwie świynie, coby je paś na wuszty. Problym boł ino ze szczewami. Nikaj niy szło ich dostać. Mój fater ze starym Tomalom lotali za nimi po całym Ślonsku. Jak już dostali, to potym te szczewa leżeli we soli, w takim dupnym buncloku. Jo tam rynka roz wraźił rajn, to matka mi pedziała, żebych tam łap niy cis, bo to som flaki. Trocha żech sie wystraszoł, boch myśloł, że to łod czoweka. Jak świynie sie zrobiyły fetne, to stary Tomala je zabioł i zaś zrobioł wuszty, krupnioki, żymloki i preswuszty. Potym zaś kupioł nowe świynie i tak rozkryncioł interys. Postawioł sie sztand, a potym lyjant. Pjyrszy masorz tu na Cwajce. Musioł jednak ustonpić, bo zdrowia już niy boł pjyrszego i łoddoł interes synowi. Synek jakoś rynki niy mioł do wusztów. Niby boł masorzym, ale barzij chyba chcioł łojcu zrobić przyjymność i łodziedziczyć majontek. No, ale terozki sie wyrobioł. No ja, tak to z nimi boło. Wszyjsko pamiyntom!

KOCYBINO:

Ja, ty wszyjsko pamiyntosz! A pomalować gibsdecka na świynta to niy pamiyntosz?

JORG:

Ty byś, pieronie, ino malowała i tapetowała. Co rok to samo słysza: „Jerzyk, tapeta mi sie w izbie zbrzidła, trza by inno spaczeć. Ściany som już zmaraszone łod tyj sadzy z kachloka, trza przemalować". A jo ino lotom do marketu, tam i nazot, i tapetuja, i miyszom malta, i miyszom farba. Słabi mie już to!

KOCYBINO:

Chces miyszkać w brudzie? To miyszkej. Miołś ustymp zrobić. Miołś bojler kupić, prysznic założyć, łaziynka zrobić. I co? Dalij muszymy łazić na siyń do ustympu i marznonć, pieronie.

JORG:

Jo łaziynka zrobia, jak sie we spółdzielni przestanom ciepać ło moje gołymbie na wiyrchu. Tyla lot mom gołymbnik na gorze i nikomu to nigdy niy przeszkodzało. Terozki zmiynił sie prezes i mu przeszkadzo. Bydzie mi tu dyktować warunki, krawaciorz. Jo niy moga dostać pozwolynia na łaziynka, bo gołymbie mom na gorze? Łon bołby rod, jakby te ptoki stamtond zniknyły. Ja, poczekej ino. Po mojim trupie.

KOCYBINO:

To jak żeś jest taki mondry, to do końca życia bydziesz mi znosić wanna z wierchu. Ja?

JORG:

Paulek ci bydzie znosić. Mo już swoje lata, rośnie i siły mu przybywo.

KOCYBINO:

Ty mi sie ino synkiem niy wysuguj! Tyś jest, pieronie, mondry. Ty sie kompiesz na grubie i przyłazisz do dom czysty. A jo? Musza targać z wiyrchu tyn cały lajant. Grzoć na piecu woda poł dnia i potym jeszcze za sobom posprzontać. Paulek tysz sie musi czyńścij kompać. Już sie za nim lipsty łoglondajom.

JORG:

Niy wynokwiej. Całe życie żeś sie kompała we wannie i niy było godki. Nasuchałaś sie Korpysowyj z piyrszego sztoku i mosz woda we mozgu zamias we wannie. Może mi jesce powiysz, że ci gańba, że we latach dziewiyndziesiontych niy mosz łaziynki?

Cisza

KOCYBINO *(lekko wnerwiono gapi sie do telewizora):*

Chop Korpysowyj wszysko umi załatwić. A ty?

JORG *(tonko konsek wuszta w zynfcie):*

Chop Korpysowyj to jes podciep. Badnij sie na niego. Krotkie nóżki, krotkie ronczki. Wszyndzie go wrazisz. Miyndzy szrank, do byfyju i jesce drabinom przykryjesz. Chciałaś by mieć takiego chopa?

Cisza

KOCYBINO:

Jo by chciała jus iś na nowe. Jo by chciała, coby my mieli dwie izby we bloku. Łobojyntnie na kerym sztoku. Żeby boła łaziynka i ciepło woda, i cyntralne. Paulek by mioł swój kont. Miołby sie kaj uczyć. To bych chciała. Może byś pogodoł ze dyrektorym Aksamskim? Może mo jakieś miyszkania z kopalnie we bloku? Abo może by nom kopalnia jakoś pożycka dała?

JORG *(godo z pełnom buziom):*

Pożycka? A fto to bydzie późnij spłacać? Co ty myślisz, że jo byda wiecznie żył, abo że kopalnia bydzie wiecznie fedrować?

KOCYBINO:

To co? Bydymy miyszkać już zowżdy w ajncli? Jak żeś mie bez próg przenosioł, to żeś mi przyrzekoł, że jak ino bydzie możliwość, to sie przeprowadzymy stond na nowe. I co?

JORG:

Som niy wiym.

KOCYBINO:

A co ty, chopie, wiysz? Wiysz ino, jak piwo łotwyrać fojercojgiem, abo o keryj szynk łotwiyrajom i zamykajom.

JORG *(godo z pełnom buziom):*

Niy nerwuj mie, ja? Robia ciynżko na dole, to mom prawo sie napić piwa po szychcie.

Cisza

KOCYBINO:

Korpysowo godała...

JORG *(przerywo żonie wyraźnie wnerwiony):*

Korpysowo to jes pierdolino. Ino, pieronie, pierdoły pociskać na ławce pod familokiym. Co zaś godała?

KOCYBINO:

Korpysowo godała, że we spółdzielni som przydziały na nowe miyszkania. Cza iś ino i sie zapisać.

JORG:

Ja? Jo puda. Żebyś wiedziała, że jo puda! Ino jak zaś trefia na jakiegoś, pieronie, gorolskiego prezesa, to jak wezma krzesło do rynki, to mu te biurko poczaskom.

KOCYBINO:

Tyś jes nerwus, chopie, tyś jes nerwus. Jak jo z tobom wyczymała tyla lot?

JORG:

A co z gołymbiami zrobia? Kaj je wraża? Chyba niy bydom na balkonie?

KOCYBINO:

Kupiymy łogródek jak stary Tomala. Na łogródku we laubie bydziesz miał swoje ptoki.

Cisza

JORG *(myśli i obiero ze skory drugi wuszt):*

Kaj jest Paulek?

KOCYBINO:

Cioro po placu. Zadanie już mo zrobione. Sztyry lekcje ino majom jutro.

JORG:

Ino sztyry? Pieronie, to co łoni ich tam uczom?

KOCYBINO:

Ty sie już niy interesuj, ino pacz tam jako.

JORG *(godo z połnymi ustami):*

Co pacz tam jako?

KOCYBINO:

Niy zmiyniej tymatu! Naroz cie Paulek łobchodzi, ani roz żeś mu w zadaniu niy pomóg.

JORG:

Jo dwadziyścia lot tymu łaził do szkoły. Myślisz, że jo cosik jesce pamiyntom?

KOCYBINO:

Ja pamiyntosz, pieronie, ułamki. Pół litra dodać pół litra.

Jorg bierze do rynki krauza z zynftem i robi zamach w kierunku Kocybiny. Cały tysz czerwienieje ze złości.

KOCYBINO:

No, spróbuj mie ino rypnońć. Jak łotworza łokno do mola, jak zaczna ryceć, to bydzies widzieć. Cały familok sie zleci, a Korpysowo bydzie miała ło cym godać bez miesionc.

Jorg sie uspokajo. Powoli przeżuwo wuszt.

Cisza

JORG *(godo z połnom buziom):*

Musisz mie tak szterować? Mało to mom nerwów na dole? Niy moga sie z tobom łod jakiegoś czasu dogodać. O co ci sie rozchodzi?

KOCYBINO:

Chca, coby boło dobrze. Coby sie trocha zmiyniło. Paulek we maju idzie do komunii. Trza izba wymalować, łodświyżyć trocha ta ajncla, tepichy poklupać. A ty jak przydziesz z roboty, to ino paczysz na telewizor, piwo złopies abo idziesz spać.

JORG *(zaś sie nerwuje):*

Jakbyś zjechała na doł, tobyś widziała. Tobyś poczuła, jaki to jest ciynżki konsek chleba. Co ty myślisz? Że jo tam nic niy robia? Że my ino zjyżdżomy i wjyżdżomy na wiyrch? Niy, kociku. Jo tam ciynżko zapieprzom. Na ciebie, na Paulka, na dom. Myślałaś kejś, że jo moga niy wyjechać? Niy, niy myślałaś. Ciebie w gowie ino malowanie, tapety i to, co Korpysowo powiy na nosz tymat na ulicy.

KOCYBINO *(lekko wnerwiono):*

Niy, mie w gowie ino Paulek. Chca do niego jak nojlepiej. Chca, żeby mioł komunia jak nojlepszo, żeby niy łodstowoł łod innych dzieciów, żeby sie mioł czym pochwalić przed kolegami we szkole. Już kucharka mu zamówiłach, szaket zamówiłach na torgu, świycka kupiłach, skarbczyk. Gości pospraszałach, z moij familii i z twoij. Tak sie cieszyłach na ta komunio, a ty mi, pieronie, to wszysko musisz popsuć.

JORG *(godo z połnom buziom):*

Jo ci to wszysko psuja?

KOCYBINO *(poważnie wnerwiono, aż wstała ze fotela z tego wszyskiego):*

Ja ty. Kaj jo tych ludzi wezma? Do takiego syfu? Ściany niymalowane chyba łod piynciu lot. Tapety zakurzone. Linoleum na podłodze tysz by czeba było wymiynić. Łobgodajom nos i bydzie gańba. Bydom godać, żeś jes leber i niy sce ci sie robić.

JORG *(tysz wstaje, a w rynce mo widelec):*

Mie sie niy sce robić? Poczkej ino, jo ci zaroz pokoża, jak mie sie niy sce robić!

Zaczynajom sie gonić kole stołu. Potym już naokoło izby. Gardina dzielonco izba zrywajom. Kocybino łotwiero łokno i staje w nim. Jorg staje naprzeciw nij z widelcym w rynce. Kocybino nabiero luftu, coby ryknonć bez łokno.

Dzwonek do drzwi. Dzyń, dzyń, dzyńńńńńńńńńńńńńńńńńń.

Oboje stajom jak wryci i paczom w kierunku drzwi.

Dzwonek dzwoni jeszcze roz. Dzyń, dzyń, dzyńńńńńńńńńńńńńńńń.

KOCYBINO:

Idź łotwórz.

JORG:

Sama idź.

Kocybino dalij stoi przy oknie w izbie.

KOCYBINO *(rycy z izby):*

Fto tam?

KORPYSOWO:

To jo, Korpysowo. Łotwóżcie ino.

KOCYBINO *(rycy z izby):*

Łotwarte!

Korpysowo łotwiyro drzwi. W kuchni ćmok, a we izbie świyci sie mało lampka.

KORPYSOWO *(stoi we drzwiach):*

Co sie to u wos dzieje? Larmo jak pieron. Po siyni sie niesie.

Korpysowo włazi do kuchnie. Potym do izby. Na stole widzi narychtowane wuszty na kolacja. Gardina jes zerwano i leży na zolu. Kocybino stoi we fartuchu przy łotwartym łoknie.

Cisza

KOCYBINO *(przerażono paczy na Korpysowo):*

Przed chwilom zaś żech z nim godała.

Cisza

KOCYBINO:

Drzymłach sie ino trocha po połedniu na leżance, wstaja, pacza – łon. Pedzioł mi, że mom mu narychtować kolacjo. Jo cały czos czuja jego łobecność. Łon tu z nami jest cały czos.

KORPYSOWO:

Wierza wom.

KOCYBINO:

Jo mu te wuszty narychtowała. Pedzioł mi, że na komunia Paulka pomaluje gibsdecka, pomaluje ściany i nawet kasetony położy.

KORPYSOWO:

Po co żeście łotworzyli łokno? Duszno wom?

KOCYBINO:

Chciałach...

KORPYSOWO:

Kocybino, wy mie nawet niy nerwujcie. Paulka chcecie samego na tym świecie łostawić? Mało wom tragedii?

Korpysowo podchodzi do okna i zamyko je, gasi tysz telewizor. Kocybino, bardzo smutno, siado na fotel. Płacze.

KOCYBINO:

Korpysowo, jo jus niy umia. To jus pół roku łod tego tompniyncio. Niy umia sie spamiyntać. Zostawił mie samo, na pastwa losu. Take my mieli plany. Mioł łaziynka zrobić, wymalować izba na komunio, a z końcym roku mieli my sie przeprowadzić na bloki. Wiycie, jak jo sie cieszyła?

Korpysowo siado naprzeciwko Kocybiny i daje ij chusteczki. Głaszcze jom po wosach.

KOCYBINO *(wyciyro nos w chusteczki):*

Co jo terozki zrobia? Wszysko na moij gowie. Wiycie, jak jo sie boja dzwonków, i to jeszcze ło tyj porze? Mie sie zaroz przypomino tyn dzień, kej przyjechali do mie z kopalni z wiadomościom i mie zabrali.

Słychać szlochanie Kocybiny.

KORPYSOWO:

Kaj Paulek?

KOCYBINO:

Cioro po placu. Łon jakoś to inacyj przeżywo. Tak jakby mnij po nim widać.

KORPYSOWO:

To jesce bajtel. Myśla, że jes mu fest smutno, ino jak jes we szkole abo na placu ze kolegami, to na chwila przestaje ło tym myśleć. Pra?

Kocybino przestaje płakać, ale dalij jest ij fest smutno.

KOCYBINO:

Mom nadzieja, że ja.

Cisza

KORPYSOWO:

Zaś dzisioj bydziecie sie cały wiecór zamartwiać i siedzieć po ćmoku przy zgaszonym telewizorze? Mom rada na te wasze halucki.

Kocybino nic niy godo.

KORPYSOWO:

Póćcie do mie. Na Polonii leci serial brazylijski. No, póćcie!

Kocybino poczontkowo niy jes chyntno, ale późnij dowo sie przekonać.

KORPYSOWO:

Póćcie, wstowejcie. Paulek wiy, kaj miyszkom i jak przydzie z placu, a w doma nikogo niy bydzie, to zaklupie do mie.

Wstajom obie i poleku idom do kuchnie. A z kuchnie do drzwi i wyłażom na siyń.

KONIEC

ROŁZA

Grzegorz Sztoler

na podstawie „Duchów wojny" Alojzego Lyski

I

ELZA:
Smakowało?
ALOJZ:
Danke, sehr Gut.
ELZA:
Ciesza sie, a skond żeś to je?
ALOJZ:
Oberschlesien, kreis Pless…
ELZA:
Toś Polok…
ALOJZ:
Niy!!! Ślonzok…
ELZA:
Dyć Ślonzoki to Poloki som…
ALOJZ:
Niy, Elza, Ślonzoki to Ślonzoki, tak jak wy Bajeroki…
ELZA:
A Ślonzoki to dobrzy ludzie?
ALOJZ:
Jak wszyndy Elza, jak wszyndy… Jedni som dobrzy, drudzy źli. To samo co u wos…
ELZA:
Prawił mi o Ślonzokach mój Father, kiery był na Górnym Ślonsku na wojnie światowej. Stacjonowali pod Pszczynom, przy zamku Rudoltowitz. Głód tam był i biyda…
ALOJZ:
A rychtyk, słyszołech to od starego rechtora Dudy, kiery padoł mi, że w 1914 Rusy przegoniły Cysaroków spod Przemyśla. Zdało się, że Rakuzioki galoty potracom, tak sie boli…

(Elza zasłuchano, Alojz na niom patrzy…)

ALOJZ:

Toż nasz cysorz…

ELZA *(droczy sie):*

Wasz pruski cysorz…

ALOJZ *(dali):*

Nasz cysorz Wiluś pozwolił jim sie skryć we włosnym kraju. I beztoż tysiąc Madziarów i Austryjoków koczowało bez pora miesiączków na polach, w lasach ksiyńcia pszczyńskigo. I co było do zeżarcio, zjedli… Nawet pokrziwy, bo psy już downo sie potraciły….

ELZA:

Toż był tam mój Father…

ALOJZ:

To może być prowda. Wtynczos było łu nos w pierony huzarów… Może i stancjowali w Rudołtowicach…

ELZA:

Father padoł mi, że ludziska łu wos sami niy mieli, a jeszcze sie z wojskiym dzielili…

ALOJZ:

Prowda, ludzie łu nos uczciwi…

ELZA:

Alojz, posłuchej dali… Pochodza z Salzburga… Wiysz, kaj to je? Mój Father był kapitanem, ale łod tego prawdziwego cysorza, z Habsburgów, a niy tego „cyganionego", pruskigo… I padoł mi niyroz, że poznoł tam, w kreis Pless, jakomś hrabianka, von Schymonski, tak się ji mianowało… Nawet moja matka chcioł ciepnąć dlo tej pieroński Poltońki.

ALOJZ:

Elza, nie wiedziołech…

ELZA:

To było downo... Ni mom urazy… Podobno ta Poloczka była rychtyk piykno…

(Trzaskajom dźwiyrzi, wchodzi staro Radlingerka. Pieronuje wzrokiem synowom…)

RADLINGERKA:

Zaś pewno obiod był przypolony…

(Elza się czyrwiyni)

RADLINGERKA:

Przypolony i usmolony, co za pożytek z taki gospodyni. Z piyknej miski pojeś nie idzie…

ALOJZ:

Dejcie dziołsze pokoj, gospodyni, rychtyk dobry łobiod przyszykowała…

(Elza wychodzi)

RADLINGERKA *(patrzy przenikliwie):*

Coś za długo żeście godali, Alojz…

ALOJZ:

Wy zaś tam widzicie za tela. Je porobione, co miało być, dyć trza trocha pojeś i dychnonć…

RADLINGERKA:

Ty ino pamiyntej, że łona mo chopa, na Ostfroncie, a wy se tu w Bajerach rzicie grzejecie..

ALOJZ:

Gospodyni, ale też bez naszyj pomocy wszystko by sie tu pomarnowało.

RADLINGERKA:

Ano prowda. Tyś ta Alojz nie je zły człowiek. Robotnyś, prowda, i dosz se pedzieć... Przydołbyś mi sie tukyj.

ALOJZ:

Gospodyni, Wehrmacht mnie tu przysłoł, szkolymy się w niemieckim, żeby my lepi łoficyrów rozumieli. My tam w Oberschlesien to ino po ślonsku poradzymy. Za tydzień, dwa i jo moga trefić kaj wasz syn, na tyn pieroński Ostfront... Pogospodarzyłbych u wos rod dłużyj, ale co bydzie dali… U mnie w chałpie ni mo fto robić. Wichta, moja ślubno, ze swym łojcem łobrobiajom ile sie do. A wiela sie zmarnotrawi? Wszytkich chopów wziyni ze wsi na ta pierzyńsko wojna…

(Alojz milknie, bo sie spostrzyg, że za wiela pedzioł przy starej Bajeroczce)

RADLINGERKA:

Nie starej się, synek, wojna chneda sie skończy. Wrócisz do dom i bydziesz dali gospodarzył na swoim – chocioż jo bych cie rada widziała łu mie… No za pomocnika, jakby mój Florek przyszeł z tej wojny, z tym bolszewizmem, jak pado nasz Führer… Ja, richtig, to by mi genau pasowało… I znoloz by se drugo baba, bo s tom *(tu staro patrzy sie na dźwiyrzi, kierami wyszła Elza)* obecnom jo nie widza przyszłości… Lipno s ni je gospodyni, godałach Florkowi, ale synek łupar sie i wzion se baba z miasta. I mo… No, teraz to jo mom z niom, cheba łod roku, istny koniec świata. Ino jo haruja. Łona nic nie poradzi, zaroz się łobrażo, nic nie do se pedzieć. No, bych scyganiła, w doma nawet uwarzyć uwarzy, dom w czystości utrzymo, o siebie tyż, jak to widzisz, zadbać umiy. Ale tako rołza z miasta gospodarki, gnoju i roboty sie już nie nauczy. A jo, cóż, czekom na zastympstwo… Dyć mi już siódmy krzyżyk bije, Grüß Gott…

ALOJZ:

Dej wom Panie Boże zdrowi…

(Alojz wychodzi do siyni)

RADLINGERKA *(woło):*

Alojz, pamiyntej, a dobrze mi łony wydoj… Jak źle takom fajnistom chycisz, to ji mlyka ubydzie. Beztóż dej pozor. A ta narwano pogłoskej po zadzie. I, Alojz, dobrze chytej, trzymej, nie puś i durch ciong…

ALOJZ *(myśloł o Elzie):*

… Głoskej, macej i durch ciong, padocie…

RADLINGERKA:

Krowa, krowa ty zbereźniku, niy moja synowo. Zresztom dowom se na wos pozor, pamiyntej, ty pieruchu…

ALOJZ:

Poradza, poradza i z krowom, choć łu nos, na Ślonsku, to była zawdy babsko robota.

II

(Gasthaus)

ALOJZ:

Dej pokoj, Franz, dyć nos tu traktujom jak pachołków, a niy wojoków.

FRANZ DZIEGGEL:

Alojz, nie śpychej sie tak na tyn front. Jo s niego przyszeł, szkola wos, i swoje wiym… Spuś synek trocha luftu…

ALOJZ:

Dobrze ci godać. Ni mom u tej bałerki żodnej folgi. A je żech jak mietła, a niy wojok. Wczas rano czyszczeni chlywów, pucowani i futrowani koni, łodbywani gawiedzi – kur, kaczek i wszytkigo co gdoko. Potym się wymyć i dojyni… Wiela sił…

FRANZ:

Dyć żeś gospodarski synek, a żalisz sie jak baba…

ALOJZ:

Dobrze ci godać, wczora zbiyrali my siano. A zwerbuj mi tego kolegi, co ci siyc pomoże, godała do mnie jak oberlojtnant. I cóż Johann, musioł przyś i mi pomóc… Jeszcze my dobrze siana z kopek niy rozciekli, a tu zza gór zaczły wyłazić kłymbiaste, żółtobure kominy. Jeerronie, staro zaczyna sie po nos drzyć. „Johann, Alojz! Uwijejcie się, zaroz dostanymy dyszcz" – wrzasła. Jo chycił za

widły, a gospodyni – hop na drabiniok ukłodać. Do podziwu… Kobiyta już siódmy krzyżyk dźwigo, a żyźwo jak szesnostka…

FRANZ:

Alojz, uważej na ta szesnostka…

ALOJZ:

No, Franz, przestoń, jo żyniaty. Chcesz, to ci jom naśla… z widłami, pieronie…

FRANZ:

Ale jest jeszcze ta młodka…

ALOJZ:

To Elza, jeja synowo, kierej staro strasznie niy ciyrpi… Dziołcha z miasta, to ni ma sie co dziwać. Ni do gnoja, ale lepszych rzeczy stworzono…

FRANZ *(w śmiychu):*

Alojz, głodnymu chlyb na myśli… Ty ino o jednym…

ALOJZ:

Dziwisz się, jo już swoich rok praje nie widzioł… Możne mnie w końcu na tyn urlaub poślom…

FRANZ:

Niy teraz, Alojz, jeszcze s tym nie przyłaź, majom nos przenosić. Ruchawka w dowództwie, wszyscy w nerwach…

ALOJZ:

Przedtem też nie było czasu…

FRANZ:

Musieli wos wyszkolić…

ALOJZ:

Niech nos już poślom na ta wojna. Pogoniomy Rusa i do dom, ku swoim…

FRANZ:

Pieroński gówniorzu, prawisz jak ta cało propaganda… Jakbyś trocha prochu powonioł, Ostfront łoboczył, to inaczej byś godoł… Być rod, żeś tam nie był, i rzykej, żeby cie tam nie ciepli. Bo tam je piekło….

ALOJZ:

Franz, shaltuj trocha… Piekło tu, czy tam… Tu też ni ma leko, a tęsknica mie biere ku swoim…

FRANZ:

Dziynkuj Bogu, że mosz do czego i kogo wracać… Jo niy mom kaj, fto bydzie chcioł synka z takom szramom na pysku? Jako frela? Ale Alojz, jo się ciesza, że żyja, bo wielu moich kamratów łostało tam, w Ruslandzie, na wieki wieków. I jo ci godom, ty też tam trefisz. Beztóż, synek, trzymej sie mie, i dej se pedzieć, bo jo już tam był. W tem piekle.

III

ALOJZ *(wychodzi):*

Guten Morgen, gospodyni…

RADLINGERKA:

A to ty… A kaj sie wybiyrosz… Bo krowy…

ALOJZ:

Krowy już downo łodbyte… Do mojego komendanta Dzieggela się wybiyrom, momy pilny miting…

RADLINGERKA:

Zaaaś miting? A słyszołeś wczora… Przyszełeś w nocy, toś musioł widzieć…

ALOJZ *(zaniepokojony):*

A coch niby mioł łoboczyć, gospodyni?

RADLINGERKA *(zdziwiono):*

Nic żeś nie widzioł? Nie słyszoł…

ALOJZ:

A godejcie do rzeczy, bo mi się śpiycho.

RADLINGERKA:

Dyć cało wieś ło tym aże huczy, a ty nic… nie wiysz…

ALOJZ:

Niby ło czym?

RADLINGERKA *(wykrzykuje):*

Spadajonco gwiozda!

ALOJZ:

Jak w Betlyjem! A ło kierej to było? Boch społ…

RADLINGERKA:

Nie wiym, czymu żech się łobudziła. Wejrzałach na zygor (a mom go jeszcze po moim chopie). Było z trzi ćwierci na trzeciom. Wstałach, podeszłach do łokna. Miesionczek zachodził za góry, gwiozd pełno… A tu naroz błysk! Jakby niebo pynkło. Krótko to trwało, ale za tela długo, by tego nie łoboczyć…

ALOJZ:

Społech już, gospodyni, nic żech nie widzioł…

RADLINGERKA *(wzdycho):*

I to majom być niymiecki wojoki... Nie wiedzom nawet, że gwiozdy ślatujom…

ALOJZ:

Jak spaduje gwiazda, ftoś łumiyro, tak łu nos padajom…

RADLINGERKA:

A nie kraczże…

ALOJZ:

Aaaa… Dziynkuja wom za te rołzy, co tak fajniście woniajom mi w izbie….

RADLINGERKA:

Alojz, ty rychtyk jeszcze śpisz. Elza ci je przyniosła.

IV

(W sztabie)

ALOJZ:

Melduja się posłusznie…

FRANZ:

Spocznij i siadej, Alojz. Godej mi, co słychać…

ALOJZ:

Chciołech zmienić kwatyr…

FRANZ:

A, chyba wiym czymu…

ALOJZ:

A to stare, uparte babsko zaczło mie wyzywać… Że niby to jo je winien śmierci jej Florka, boch Polok ze Ślonska… A to przez Polska zaczła sie ta zasmolono wojna, bo Poloki nie kcieli dać Adolfowi korytarza na autobana do Prusów… Wczora dostała papiór, że łon kaś vermist na Ostfroncie… I wpadła w szał… Tłuc zaczyna talyrze, a wy mie ciepać szolkami… Nie dała se pedzieć, że nom też to pisane. Że nos tam wyślom…

FRANZ:

Poczkej, Alojz, zaroz bydymy myśleć…

(Alojz wyciongo papierośnica, kurzy)

FRANZ *(przylatuje i klepie Alojza po ramiyniu):*

Dobra, bier klamory i przenoś sie do mie. Bydziesz mojim pucerem *(śmiych).* Błoznuja, zrobia cie łoncznikiem.

V

(W Gasthausie)

ALOIS LEITNER *(właściciel):*

Toż padosz, synku, że ci Alojz jako mi…

(Alojz przytakuje)

LEITNER:

A godoł mi Franz, tu mosz sznapsa na koszt firmy.

ALOJZ:

Wasze zdrowiy, karczmorzu.

LEITNER:

A cóżeś tak od tej zmierzłej baby łuciyk?

ALOJZ:

A dobrze prawicie, mi nie wypadało, boch młody. To było rychtyk zmierzłe babsko. Ale ile żech się to ji nawygodzoł… Alojz, zrób to, przynieś tamto, ino gibko – słyszołech… Robiłech wszystko uczciwie, jak na swoim, niywiela nawet żech jot…

LEITNER:

Ło, boroku, i tak licho wyglondosz…

ALOJZ *(prawi dali):*

… Boch s tym jedzyniym był stale pod kontrolom…

LEITNER:

Jeerronie, a to motyka... Żeby synkowi pojeś nie dać… Dyć ty niy niewolnik, inoś sołdat Führera, samego Führera, dyć to gańba. A kto znieważo naszego żołnierza, wodza samego poniewiyro… Toż twoi zdrowie… A żeby to babsko, tfu…

ALOJZ:

A cóż ji tak nie cierpicie, gospodorzu…

LEITNER:

A staro historia… Downo, downo… jak była piękno i młodo, to żech jom miłowoł. Inoch z wielkiego bałerstwa nie był, beztoż jeji łojcowie, a i łona sama też, krzywo na mie patrzeli… Łona, Johanna, jakby kciała, toby sie postawiła, mogła sie postawić. Inakszy by było. No, ale… Pokorało jom, jak sie dziwo ino na morgi, a niy na drugigo… Jo żech sie nie hajtnoł, niy… Kawaler już blank stary żech je. Ale to prowda, co godajom, wszystko co zrobisz, nazot do ciebie przidzie. Każdo krzywda i każdy dobry uczynek…

ALOJZ:

Dobrze prawicie… Toż jo sie tam naharowoł… Aż do przesady żech robił, dokładnie aże… Ale to sie niy podobało… Nigdy żech ji nie wygodził! Zawdy coś źle… Zawdy wynokwiała na moja robota… Jakżech mył sie sztyjc w korytku przed chlywami, szczotkowoł mundur, pucował mundur, boch chcioł wyglądać porzondnie – dyć, jak to padocie karczmorzu, żech je żołnierz Wehrmachtu – nie było dnia, by mi nie przygodali. Bo pucować żech mioł niy siebie, ino świnie… Też sie i nie podobało, jakżech bezpedzioł coś po swojemu, po ślonsku. I niy podobało się i nawet to, żech z ćwiczyń wojskowych wracoł na kwatyr poźno w nocy…

LEITNER:

O mein Gott! To ci hyrpa… Jakżeś ty, synku, s niom strzymoł… Toż pij zdrowie naszego Führera…

ALOJZ:

Wolołbych wasze…

(Wchodzi Dzieggel)

FRANZ:

A tu żech wos znot, łochlapusy jedne… *(wspólny rechot).* Polyj, Alojz… Niy ty, ale ty, ty bydziesz polywoł nastympnom kolejke *(to do kamrata z wojska)…* Ja, zdrowiy. Toż suchejcie, a raczyj suchej ty, Alojz, co ta twoja gospodyni nawyrabioła…

ALOJZ:

Aż sie boja…

LEITNER:

Byle cie na front nie wysłali…

ALOJZ:

No nie wiym, wolołbych na front, jak do tej staryj łociepy…

FRANZ:

Suchejcie, tawariszcz. Dzisioj rano ta twoja Radlingerka... No, nie łobrażej się, Alojz, tak żech ino pedzioł… Ty byś pewno wolol, żebych pedzioł… ta twoja Elza, pieronieee, co? Czyrwiynisz sie, ha, tu cie mom… Nie boj się, niy ty piyrszy i niy łostatni tracisz rozum do tej blondiny, no nie zaprzeczyj… Mnie, starego wojoka, nie ocyganisz. Toż ta Radlingerka drabko pojyna, że zrobiła źle. Zrozumiała, że jej gospodarka niy może być bez chopa. No jeszcze teraz, jak się biydny Florek na froncie pominoł. Toż gibko przyszła po rozum do głowy – ja, Alojz, to babsko mo jeszcze coś takiego – i poleciała do byrgemajstra z pyskiem, że jom wojok bez pozwolyństwa łopuścił…

ALOJZ:

A to chytro pierona!

FRANZ:

A że bez lato dużo roboty na gospodarce, żniwa, łodbywani… a łona sama łostała… I lamentowała, łu tego byrgra s godzina…

LEITNER:

Ja, to łona poradzi, moncić i lamentować, że ji krzywda…

FRANZ:

Wiym, Alojz, żeś sie w ni kochoł… Toż Bogu żeś powinien dziynkować, że cie uchronił od żyniaczki i życia s niom. Miołbyś teras takom biede, jak mój kamrat z Oberschlesien.

LEITNER:

Może i prowda prawisz… Może tak być… Nigdy żech o tym tak nie dumoł…

FRANZ:

Toż chopy, tyn byrger zaroz po tym wielkim lamyncie Radlingerki zatelefonował do Websa, mojigo szefa, kiery mo sztab w zomku. Tyn Webs, kierego znom jeszcze z Ostfrontu, i żech mu niyroz rzić ratowoł, wiedział, o co idzie, i na twoi miejsce mioł przyszykowanego Gustawa Schultza…

ALOJZ:

Ło, tyn biydny karlus z Gleiwitz mo przesrane… Przesrane…

FRANZ:

To nie twoja rzecz…

ALOJZ:

Przeca to synek z miasta, na polu cheba nigdy niy robowoł…

FRANZ:

A co cie to martwi, młody je, nauczy sie…

ALOJZ:

Genał, pryndzyj bydzie zajonce gonił, jak srobiom s niego bałera…

FRANZ:

Jeszcze roz ci godom, Alojz, mosz za miękki serce…

LEITNER:

A kto mo miękki serce, tyn musi mieć twardo rzić. Ja, prowda…

ALOJZ:

Chopy, wy się ło moja rzić nie starejcie, ło nia mo się fto martwić…

FRANZ *(zaczepliwie):*

Fto, Elza?

ALOJZ:

A cóżeś sie tak tej Elzy uczepił, kamrat, jo mom Wichta…

FRANZ:

Ni ma takigo, komu by sie Elza nie spodobała. Wyglondo jak ta Wenus w Starej Pinakotece w München, kaj żech niedowno był… Bosko, niewinno i…

LEITNER:

Diobelsko…

FRANZ:

To raczyj Radlingerka. Ło ni pedziołbych – anielsko… To ta dioblica kozała jom zawiyrać na noc byrgrowi, kiery jom wachuje, bo je u niego na kwatyrze… Wygoniła jom z gospodarki, po śmierci Florka nie kce ji widzieć…

ALOJZ:

I pewnie jom też wini za śmierć chopa…

FRANZ:

Niy yno jom, cały świat…

LEITNER:

Byleby byrger nie dowoł sie do pilnowanio za bardzo…

ALOJZ:

Bo?

LEITNER:

A to stary zbereźnik, zresztom babe też mo jadowitom i szpetnom jak mara, tfu...

FRANZ:

Widzisz, Alojz, lepi sie nie żynić…

ALOJZ:

A co z tym Gustawym?

FRANZ:

A co mo być? Pochodzi z Gleiwitz, toż nojlepi poradzi szprechać po niemiecku. Padołeś, że Radlingerce naszo godka przeszkodzała, wiync się chyba z synkiem pryndzyj dogodo niż s nami, kierzy tak krawaczom tyn jynzyk Goethego i Führera.

LEITNER:

Niy robił na polu, to mu Johanna łobjaśni, jak sie grabie trzymie, a jak kosa, jak się koniem formami, a jak krowy doji. Mo na to czas… *(śmiych)*

FRANZ *(przedrzeźniajonc):*

Beleby ino był posłuszny Radlingerce, beleby sie nigdy po ślonsku niy przyblaknoł, a wieczorami nie smykoł. To mu może staro na jakiś czos do pokój, choć w to wontpia, bo jak rozmyślom nad tym bauerstwym, i tym, co mi tu kamraty prawicie przy bajerskim sznapsie – toż pyrsk, ludkowie! – to mi się zdo, że nojwiynkszym nieszczyńścim tego miyjsca jest ta baba…

VI

FRANZ *(głośno):*
Alojz, bier sie nazot do Radlingerki!

ALOJZ:
Co!?

FRANZ:
To rozkaz…

ALOJZ:
Chyba pójda pod sond..

FRANZ:
Synek, to nie som żarty… To rozkaz samego Websa, niy mój…

ALOJZ:
Rozkaz? Toż powiydz, co sie zwyrtło…

FRANZ:
Wykrakali my… Tyn borok Gustek aus Gleiwitz do gospodarki sie nie nadaje. Nawet krowy się boji.

ALOJZ:
Abo jom z bykiem pomylił?

FRANZ:
Może i tak być, łobadosz to na miyjscu.

ALOJZ:
Pieronie…

FRANZ:
Też mi to nie pasuje. Ale dzwonił do mnie Webs. Radlingerka łu niego była…

ALOJZ:
Łuparte babsko…

FRANZ:
Wiysz, teraz to nie wypadało ji łodmówić… Ni mo tak kto gospodarzyć… Myślom ło tobie… Nawet Elza… Zresztom łoboczysz… Razym było nom dobrze, ale Alojz, jak mus, to mus. Bier, synek, te graty i jidź na łobiod… O, chyba żech sie wygodoł…

VII

RADLINGERKA:

Źle, że już się musicie brać…

(Gustek i Alojz patrzom zdziwiyni. Radlingerka wyciongo keluszki i rozlywo nalewka)

RADLINGERKA *(dali godo):*

…Tak byście mi się jeszcze na żniwa przydali… Ni miałach jeszcze tak robotnych ludzi… *(zapraszo)* Siadejcie, pogodomy jeszcze…

ALOJZ:

My tu chyntnie ostanymy, gospodyni, ino powiedzcie to waszymu Adolfowi, że nos kcecie…

RADLINGERKA *(wzdycha):*

Wiym, Alojz, że tu nic nie poradza, i wiym, że wy byście se też s tak zmierzłym babskim jak jo *(tu sie na nich dziwo)* dali rady. Je jak je… Byda za wos rzykać, byście łopstoli w tym ruskim piekielcu, i by wos co złego nie spotkało, jako mojigo jedynoooczka…

ALOJZ:

Bóg wom zapłać, gospodyni…

GUSTEK *(smutny jakiś):*

I ło czym tu rozprowiać… Wszystko mo swój początek i koniec. Nasz koniec je blisko… Trze sie poleku brać, nic niy pomoże…

ALOJZ *(jakby chcioł zatrzeć to, co godoł kompan):*

Piyknie wom dziynkujymy, żeście nos kwaterowali, kustowali, czasym i czymś lepszym ługościli… Co złe, to niy my! Starali my się, jak mogli nojlepi, żeby wom pomoc i z wojskiem być w porzondku… Niy zawsze było to możliwe… A co sie wom nie podobało – wyboczcie…

RADLINGERKA *(wyciongo z bifeju pół litra nalewki):*

Toż chłopcy, jo wos tu łostawia, byćcie se tu, jak długo chcecie…

(Wychodzi)

(Chłopcy se kamracom, nalywka pomału sie traci…)

GUSTEK *(zwierzo się):*

Wiysz, zadar żech z Elzom…

(Alojz prostuje sie jakby go sztrom świtnoł, ale Gustek tego nie zauważo. Patrzy przed się i godo)

GUSTEK:

W cywilu zolyciłech z roztomaitymi frelami, ale takij łooognistej *(kiwo głowom),* taki fajnistej dziołchy to żech jeszcze nie trefił…

(Patrzy na Alojza, tyn milczy)

GUSTEK:

Nie wiym, jak sie to skończy, kamrat… Jakby co, ty ino wiysz, co je miyndzy nami… Ino ty.

(Pado i patrzy na Alojza)

(Alojz czuje, że musi coś pedzieć, choć nie bardzo wiy co. Wszystko mu sie klechce w łepie. Maco sie po kapsach, szuko cygareta, fojercojga)

ALOJZ:

Gustek, a ty wiysz, kaj łona teraz je? Bo nikaj ji znolyź nie idzie…

GUSTEK:

Mo swoja ajncla we wsi. Jak sie Radlingerka dowiedziała, że bydom łu ni kwaterować wojoki, wygnała synowo z chałpy, żeby niy miała pokus. Tak miała pedzieć…

ALOJZ *(zamyślony, powtarzo):*

Żeby ni miała pokus…

(Gustek patrzy na niego zdziwiony)

VIII

(Na wachcie)

FRANZ:

Alojz, ty wiysz, że Gustek z urlopu nie przyjechoł…

ALOJZ:

Co to prawisz, kamrat?

FRANZ:

Ano, jak słyszysz. Uciyk, i to niy som…

ALOJZ:

Uciyk? Ale kaj…

FRANZ:

Już go chycili… I zastrzelili…

(Je cicho)

FRANZ:

Gustek uciekoł… Trefił na patrol szandarów…

ALOJZ:

Tego sie szło spodziywać… Dyć nie tak downo brat sie mu pominoł w tym pierońskim Ruslandzie…

FRANZ:

Nos to też jeszcze czeko, ciepiom tam teraz wszytkich naroz…

ALOJZ:

Spotkomy sie z Gustkiem…

FRANZ:

I s Elzom…

(Alojz pytającym spojrzynim)

FRANZ:

Łuciykli łoba, w Alpy… Tak robiom ci, co trefiajom na landowa na Bajery. Gustek możne chcioł do Gleiwitz, do swoich… Nie wiym…

ALOJZ:

A Elza?

FRANZ:

Czekała na niego… Szeł po dochtora, do wsi… Nie doszeł… Miała rodzić… Znodli jom zmarzniyntom…

(Alojz opuszczo głowa)

FRANZ:

Alojz, wszystkich nos to czeko, łoni już som u Ponbóczka. My też naszych nie łoboczymy… Bez ta zasrano wojna…

Alojz wyciongo z kapsy wysuszono rołza. Ta łod Elzy.

HEBAMA I DIOBOŁ

Roman Weber

(na motywach bery opolskiej i tąż gwarą opisane)

Scena przedstawia wnętrze wiejskiej chaty w Oderwanzu nad Odrą. Czas akcji – lata 70. XIX wieku.

SCENA I.
Izba: piec, łoże, stół, krzesła. Na łóżku kobieta (Gertruda) w połogu, obok mąż (Ernest).

ERNEST:
Ju zaś zlygłaś?

GERTRUDA:
Zawzdy ci godom *(wskazuje na łóżko):* powiyś galoty na prykol, jak uz sie do cegoś bieres, to bajtla niy bydzie… Ło, Jezusicku, ło jak boli…!

ERNEST:
Przi Hanie galoty lezały zaroz przi zagłowku, i co?

GERTRUDA:
Tyś je ale gupi! Ino jak galoty wisom na tyj *(wskazuje tylną część łóżka)* romie, to bajtla niy bydzie… Ło Nojświntso Paniynko, kaj je ta Hebama? Uz w Oderwanzu, cy jesce z Krapkowic niy przitargała.

ERNEST:
A choby i na zamek do Rogowa! Downo jei tu nie boło! Kobita tyz mo elegancko – legnie sie do prykola na trzi dni i dziecko porodzi.

GERTRUDA:
Cekej ino, Ynst, cekej ino, jakbyś ino roz urodzić musioł, tobyś zobocył! Hebamo! Kaj wyście to som?!

ERNEST:
Trudka! Niy wołej jei, uz byda ło tych galotach pamiyntać.

Stukanie do drzwi. Odgłosy dzieci z antryja. Wchodzi Hebama.

HEBAMA:
Uciekejcie stond bajtle, a narychtujcie korbiok! Bydziecie mieli doma pranie, pra? *(Wchodzi, zamykając za sobą drzwi)* Pochwalony Jezus Krystus!

GERTRUDA:

Na wieki wieków Hebamo! Myślałach uz, ize sa dokumentnie zemra. A tyn mój mie jesce szteruje.

ERNEST:

To już niy byda sie sa kryńcić.

HEBAMA:

A woda narychtowano?

ERNEST:

Wsysko sa mocie: badewana, wrzóntek, powijaki.

HEBAMA:

To cekejcie na placu, aż wos zawołom… A dewejcie pozor, coby wos ziandara nie chyciol, zaś do armie zoldatów sukajom.

GERTRUDA:

Uzaś wojna. Pewnie synka urodza.

ERNEST:

Uzaś! Ty Zelozny Kanclyrzu! Azebys zardzewioł!

Ernest wychodzi. Hebama dotyka brzucha, Truda krzyczy.

HEBAMA:

Niy nerwujcie sie. Kery to już roz?

GERTRUDA:

Bydzie czworty. Ale boli dzisiej fest! Uz go niy wpusca rajn! Nie wieder!

HEBAMA:

Tak sie ino godo… Coś mi sie widzi, ize to bydzie dzisiaj dubeltowo.

GERTRUDA:

Jezderkusie! Ynst bydzie wyzywoł!

HEBAMA:

Niech ino zacznie larmować! Ino jesce niy wiym!

GERTRUDA:

A nie moglibyście… dać coś tam mojemu, coby mu sie zdało, ize i łon porodzi?

HEBAMA:

Dyć, ize mogymy! I to zobocycie jak wartko… Ynst, pódźcie sa ino.

Ernest wchodzi.

HEBAMA:

Narychtujcie ino dwie szolki tyju. Musymy wpiyrw te bole rozegnać.

Ernest robi herbatę.

HEBAMA:

Godocie, co to kobiecie tak elygancko zlyc, pra?

ERNEST:

Godom wom, Hebamo, jo uz niy moga: co sie legnie, to sie wylegnie. A cało robota na moji gowie: przi kuchni i z bajtloma, i w polu! A na barka chto mo ciś?

GERTRUDA:

Cekej ino, Ynst, jak wstana, a jak ci natrzaskom!

Ernest stawia dwa kubki z herbatą. Hebama do jednego z nich sypie ukradkiem proszek.

HEBAMA:

Wosyj Trudzie niy bydzie dziś po leku, ale i wy mi wyglondocie mran-kotny.

ERNEST:

Mar-kotny? Naprołdy?

HEBAMA:

Mran- kotny, pedziałach! *(dotyka jego brzucha)* Tu wos aby niy zgo?

ERNEST:

Zgo? Ja sam, ja, choby dropało, abo targało! Jakbyście zgodli!

HEBAMA:

Tyn jedyn tyj to je lo wos, cobyście sie tak nie szterowali.

ERNEST:

Lo mie? Bóg wom zapłać, dobra kobiyto!

HEBAMA:

Wyleźcie sie na plac i wypijcie, jak łostygnie – ino tak na eks. Kraut świezo parzóny – zarozki wom bydzie lepij. I cekejcie, jak wos zawołom.

ERNEST:

Wonio trocha choby fejfermincka.

Ernest wychodzi.

GERTRUDA:

Ło jak boli!

HEBAMA:

Uz to tak Ponbócek wyrychtował, coby za ta Ewa dostać jankor, pra? Rychtuj sie Truda, bydzies na zicher miała dwa małe!

GERTRUDA:

Dwa? Ale mi przisło!.. A co to mojemu wymyślicie?

HEBAMA:

Dostoł takigo tyju, ize sie zaroz bydzie swijoł. Jak wy urodzicie pirwsego, zrobiemy tak, coby myśloł, ize łon urodzi drugego… Kaj mocie paryzol?

GERTRUDA:

Paryzol? Sa, za szrankem.

HEBAMA:

Podeprzij sie szłapoma dziołcha i ciś.

GERTRUDA:

Ło, niy, niy!

Ernest puka i wchodzi z dwoma koszami na bieliznę.

ERNEST:

Hebamo! Ratuj! Mie je jesce gorzyj *(pokazuje na koszyki).* Godom bajtlom, co dzisiaj wielgie pranie.

HEBAMA:

Siadej sa przi szranku i cekej. A ty sie Truda zrób mało pauza. *(Hebama podchodzi do Ernesta i dotyka brzucha)* Toście ale sroge korbioki przitargali. I tak mo być! Lygnijcie sie, zbadom wos, cy aby i wy nie urodzicie.

ERNEST:

Ło farona kandego! A to u chopa idzie?

HEBAMA:

Idzie ino u tych chopów, co swoje baby gupio przezywajom.

ERNEST:

Ło jerona, jo uz niy byda.

GERTRUDA:

Cekejcie ino, zobocycie, jak to dopiyro idzie!

ERNEST:

Niy!!!

HEBAMA:

Legnijcie sie sa *(rzuca koc na podłogę).* Tak mi sie zdo, ize wnet porodzicie. Lygejcie cicho, a jak te lang mocne bóle przidom, to mie wołejcie. Teroz musa do wosyj baby poleźć.

GERTRUDA:

Uz nie strzimom.

HEBAMA:

To nabier powietrzo i ciś. Po cichu: Jak sie zacznie mocnij swijać, to mu powiym, co bajtla zaroz porodzi.

GERTRUDA:

Toście go ale gryfnie wyrychtowali… W imiam Łojca i Syna…

Rodzi pierwsze dziecko. Ernest drze się wniebogłosy.

Hebama myje dziecko i wkłada w powijaki.

HEBAMA:

Piykny, zdrowy synek!... Cekejcie, zoboca, jak u wosego chopa je daleko.

ERNEST:

Ratujcie!

HEBAMA:

Wy sie musicie na basie legnońć.

ERNEST:

Na basie?

HEBAMA:

Coście myśleli: chopy rodzom na łopy.

Bierze parasol i wsuwa mu w odbyt.

ERNEST:

Niy!!! Co wy wyrobiocie? Ło jeronie! Ło pierzinie!!!

HEBAMA:

Nie rusejcie sie! Idom wiynkse bóle, za chwila bydziecie rodzić. Legnijcie sie do porzondku i dychnijcie sie, jak waso!

Przechodzi do Trudy. Rozmawiają ściszonymi głosami. Wrzaski Ernesta.

HEBAMA:

Chyć mie za rynka!

GERTRUDA:

Ło, dobry Jezu!

HEBAMA:

Uz je blisko.

„Rodzi się" pierwszy bliźniak. Ernest leży. Hebama podchodzi i otwiera parasol.

ERNEST:

Umierom! Umierom! Ło Trudka, jaki jo był lo ciebie zmierzły!

GERTRUDA:

Byłześ, a bydzies?

ERNEST:

Uz niy byda! Jak muterce przaja!

HEBAMA *(wyciąga parasol i przynosi dziecko do Ernesta):*

Morzyć wos fest morzyło, ale łobejrzijcie, jakegoście gryfnego synka urodzili!

ERNEST:

A moja tyz uz urodziła?

HEBAMA:

Czekejcie, zobejrza. (*Truda przy pomocy Hebamy rodzi drugiego syna.)* Dwa zdrowe synki. Bydzie wojna, godom wom!

ERNEST:

Trudka, Trudzia... I tyz ci tak źle?

HEBAMA:

Tyz? Ty gupieloku jedyn! Zawzdy kobita sie swijo i rycy, inacej nie idzie. Terozki musis jom prosić, coby ci go jesce karmioła, bo z twoich cycków mlyko chyba nie poleci, pra?

ERNEST:

Ło, Trudko, moja kochano!

GERTRUDA:

Ynst, ty elwrze! Ty lebrze! Ty chadziaju jedyn!

HEBAMA:

Lepij ci aby?

ERNEST:

Duzo lepij, musa iść nad Łodra, bo uz słysa, jak mi kalymby rycom!

HEBAMA:

Ale naprzód biercie dwa korbioki na łoblecynie i idźcie bez stodoła, coby wase cery myślały, ize im bociek bracików z wody wyłowioł.

Ernest wyszedł drugim wyjściem.

GERTRUDA:

Głupsego na całym Oderwanzu nie znojda, abo?

HEBAMA:

A i na całych Krapkowicach bieda bydzie sie śnim stowiać.

GERTRUDA:

Ale tera to uz bydzie po leku – wiynksych gupot po tym gyburcie nie poradzi powycyniać.

HEBAMA:

Łobyście sie nie machli, Truda. Łobyście sie nie machli.

SCENA II.

Ernest idzie przygarbiony, podpierając się parasolem. Z drugiej strony idzie Baścik, który trzyma się za głowę.

BAŚCIK:

Witom cie, Ynst. Ale nom przisło, co?

ERNEST:

Zebyś wiedzioł, Baścik. Zebyś wiedzioł! Na wojnie cie pizło w tyj Francyje abo kaj?

BAŚCIK:

W gowa? A w szynku my sie prali i dostołżech fanga w łeb. A Krieg? Jest zech nazod. Dali mi Ernteurlaub, to byda odbywać na polu. Ale godej, co u ciebie.

ERNEST:

U mie? Łojcem zech juzaś zostoł.

BAŚCIK:

Chopie, łojcym? Ponbócku, pomogej. A na gorzoła mie bez to niy zabieres?

ERNEST:

Jesce niy mosz doś? Jo dzisioj niy mom do tego zdrowio.

BAŚCIK:

To richtig mos, chopie, jankor. Godej, ino do porzóndku. Bajtel chory? Baba?

ERNEST:

A kaj tam! I tak niy uwierzisz!

BAŚCIK:

Godej, ino zarozki!

ERNEST:

Ale najsamprzód musis mi pedzieć, cy ześ ty som kedy zlyg do rodzynio?

BAŚCIK:

Jo? Jo je niy zyniaty, co to niy wiys?

ERNEST:

Niyzyniate niy rodzom?

BAŚCIK:

Ogłup ześ?! A zyniaci zlygajom? A potym bez co tyn bajtel wyłazi? Bez rzić?

ERNEST:

Tako sie, chopie, natura ciasno cesta wybrała. Nic niy poradzymy!

BAŚCIK:

Cekej ino! To i na ciebie przisło? Była u wos aby ta Hebama z Krapkowic?

ERNEST:

Ja, abo co?

BAŚCIK:

Godej, godej, jak cie tam łona wyłonacyła?

ERNEST:

No, najsamprzód dostołzech tyngij fejfermincki. Potem miołzech srogi nachfall. A potym…

BAŚCIK:

Pokoz ino…

Ernest kładzie się na brzuchu, podpierając się parasolem:
Cis zech, cis, no wiys, choby to na haźlu…

BAŚCIK:

Ja i…?

ERNEST:

No i wylazło bez zadek. Jezu, chopie, choby heksenszus!

Baścik podnosi parasol, wącha: Dockej ino. Nie rusej gowom. Przykłada parasol do jego pośladków i wpycha delikatnie do środka. Śmieje się.

ERNEST:

Uzaś?! Niy!

BAŚCIK:

Aleś porodził, chopie! Wstowej. Pokazuje parasol: Bier paryzol i wstowej z zola! Zobejrzij, jaki ześ mioł gyburt!

ERNEST:

Pierona! Z paryzolem w...?!

BAŚCIK:

Chopie! Ale cie za błozna zrobioli! Ta pierońsko Hebama paryzol ci do rzici wcisła i zacła ci tam fyrlać choby fyrlokem.

ERNEST:

Niy!

BAŚCIK:

Ja! I ci go tam po leku – aus und zu, aus und zu…Wiys jak?

ERNEST:

Niy! Paryzolym sam rajn?

BAŚCIK:

Mosz ała i dwa boloki, a twoje dzieci som glacoki.

ERNEST:

Jako gańba! A boloków mom dzisioj z łosiem… Ale wiys, Baścik…

BAŚCIK:

Wiym, wiym. A ty wiys?

ERNEST:

Ja. Pójdymy. Ale pomsta na baby trzeba tyz wyrychtować!

BAŚCIK:

Dyć ize pomsta. Ta Hebama uz niyjednego za błozna zrobioła.

ERNEST:

I jesce ta moja staro.

BAŚCIK:

Cekej. Twoja baba je richtig staro?

ERNEST:

Przestoń. Tak sie ino godo.

BAŚCIK:

A pozno mie?

ERNEST:

Niy pozno. Przeca trzimajom cie w tych zoldatach uz wtory rok.

BAŚCIK:

Mom ideja, Ynst. Ino musis mi, wiys co, musis mi, jak sie to godo, zaufać!

ERNEST:

Coś mi zacynos fulać, Baścik.

BAŚCIK:

Ino musymy machnonć to zaroz. Jakie twoje baby miano?

ERNEST:

Na krzcie dali ji Truda.

BAŚCIK:

Hebama strasy baby diobłym. Bez dwa tydnie, do wywodu, dioboł bardzij sie baby chyci.

ERNEST:

Nie, Baścik. Łostow. Łociulały mie choby śtraśnie, ale niy bydymy sam Jancykrysta przizywać.

BAŚCIK:

Chopie. Jakbyś boł trocha wojokem, tobyś zobocył, ize te diobły, anioły, to je wielgie cygaństwo.

ERNEST:

To ino, ino trocha, mały szpas i szlus.

BAŚCIK:

Terozki godos choby chop! Szpas mus zajn.

ERNEST:

Szpas mus zajn.

SCENA III.

Izba. W łóżku leży Gertruda. Sprawdza dziecko w kołysce.

GERTRUDA:

Jeronie! Jak mie sie sce pić…Ynst! Ynst! Ty łozyroku! Uzaś w szynku siedzis… Momy cima. Zodyn mie terozki niy zobocy!

Przechodzi do pieca i kielnią nabiera kompotu.

BAŚCIK *(wychodzi zza pieca):*

Piyknie witom! Dobrze godali, tyś je richtig gryfno frela!

GERTRUDA:

Jezus! Mario! Jezus! Mario! Dioboł! Dioboł!

BAŚCIK:

Nie dryjcie sie sam choby gupio! Przeca małe rozbudzicie, pra?

GERTRUDA:

Kto wyście som? Musicie być dioboł, jakeście mie terozki chycili. *(Szuka chusty, żeby nakryć głowę)* O, mondra Hebamo!

BAŚCIK:

A wyglondom choby dioboł?

GERTRUDA:

Sam jest cima. Musiałabych petronelka zapolić.

BAŚCIK:

A petrolyju wom niy zol?

GERTRUDA *(cofa się do kołyski i patrzy na dziecko):*

Jeronie! Daliście mi sa podciepa? Ja abo niy?

BAŚCIK:

Podciepa? A obejrzij je ino do porzondku!

GERTRUDA:

Francik. Jakby tyn abo niy tyn? Bierze drugiego: Ecik... A moze i niy? Jezderkusie, co łon mo z tom skórom? Kaj je woda świncono?

BAŚCIK:

Cekejcie, po co tela larma? Diobła od chopa niy odróznicie? Na świntych łobrozach nie widzieliście?

GERTRUDA:

Tyz prołda. Pazury mo take. Dejcie ino rynka… Łos jeronie. A chyciliście sie kedy ucciwy roboty?

BAŚCIK:

Ucciwe to ludzie bywajom, robota nigdy.

GERTRUDA:

Nie fulejcie sa tukej gupot! Wy jaki beamter z Łopola? *(ściska jej dłoń)* Jeronie! Ale jak na takego elwra mocie tyz krzepa!

BAŚCIK:

To uz wiycie, skond jo jest? *(głaszcze ją po dłoni)*

GERTRUDA:

Przestońcie, bo mi sa, rein, szmaterloki furgajom.

BAŚCIK:

Jo moga być taki fest sztark, ale i poradza być i taki choby lanister!

GERTRUDA:

Ja, zeby tak mój łon sie ino wyłonacył. Zeby sie do porzondku łoblyk abo te pazory wysorowoł!

BAŚCIK:

Takigo godocie lebra mocie w chałpie?!

GERTRUDA:

Moze zlyg pod prykolym? W szynku siedzi i gorzoła pije z zymfcioka!

BAŚCIK:

I ino byście go po pysku loli, ja?

GERTRUDA:

Chobyście zgodli. Sast-prast! Ale zarozki…Mozeście jaki jego kamrat?

BAŚCIK:

Ach ja... To uz niy jestzech dioboł?

GERTRUDA:

A rogi na wierchu mocie?

BAŚCIK:

A obejrzijcie sami?

GERTRUDA:

Chyba niy... Sa z zadku, ino choby ojla jakoś abo co?

BAŚCIK:

Jak fest sie zamyśla, to sie sa robiom choby ojle. Abo buły.

Do środka wkrada się niepostrzeżenie Ernest i staje za forchangiem. Baścik przysuwa się bliżej Trudy.

GERTRUDA:

Ale sa piyknie wonio! Choby łod jakijś woniacki.

ERNEST *(do siebie):*

Ło ty giździe pieroński! Miołześ za diobła robić i baba szterować, a najsamprzód mi sa zolycisz. Ale pocekomy, coby łobocyć, co tam moja sa wyrychtuje.

GERTRUDA:

Coście na siebie wyloli! Prima sort! Choby łod Francuza!

BAŚCIK:

Wulewu la parfum de la Truda, ja? *(podaje perfum)*

GERTRUDA:

I poradzicie tak elegancko prawić, choćbyście z Francyje przijechali! A mozeście szpion jaki? Łos piernika!

BAŚCIK:

Abo moze i dioboł z Francyje przilazi?

GERTRUDA *(oddaje mu flakonik):*

Jezderkusie! Przeca wy, dioboł, za błozna mie robicie? Choby ta szlanga, co Jewka skusiła!

BAŚCIK:

Aście myśleli, ize dioboł to ino aus Berlin oder aus Breslau kommt, ja? Aber aus Paris niy?

GERTRUDA:

Ja. Hebama godali…

Pojawia się za Ernestem.

BAŚCIK:

Abo ino Hebama mo recht? Zodyn inny niy?

GERTRUDA:

Ty Jancykryście! Idź furt, ty szlango!

BAŚCIK:

Nie godejcie ino gupot! Jaki tam jo dioboł! Niy mom rogów na gowie, ino ojle, zodnych pazorów, ino te... kery, kery... manikery. Ja – manikery I zum schluss – parfióm na tako woniacka godajom.

GERTRUDA:

A łogon mocie?

BAŚCIK:

Mom, ino niy tam, kaj myślicie.

Zbliża się do niej. Ernest chce podbiec, ale Hebama go powstrzymuje żelaznym uchwytem i zamyka mu usta. Truda spłoszona.

GERTRUDA:

Musa ino badnonć, co mi sie za forchangiem zalongło.

BAŚCIK:

Dockej ino, dziołcha. Niy tak łaps! Ty sie lygnij. Ty sie niy musis szterować. Małe ci sie łobudzom i uz niy bydzie take gemutlich, jake zarozki być sa moze.

Kładzie ją do łóżka. Ernest szarpie się z Hebamą. Baścik i Truda ich nie zauważają.

ERNEST:

Puście mie. Jo tam musa iść… Co wy sa robicie? Oma? Oboma? Ale sa cima… Co jo godom: Hebama?

HEBAMA:

Przisłach ci wyporzondzić twoje małzyństwo!

ERNEST:

Aleście mi wyporzondzili blaza na rzici. Łod połednia siednońć niy poradza.

HEBAMA:

Zawrzij gamba i słuchej, bo twój kamrat zarozki twoji babie do prykola wlezie.

ERNEST:

Mocie recht. Jo im terozki pokoza.

HEBAMA:

Dockej, dockej! A co sie terozki myslis, Ynst?

ERNEST:

Uz niy wiym! Łona mi uz chyba nie przaje?

HEBAMA:

Łona? Łona by sie lo ciebie do tego zeleźnioka dała wciepnonć. Ty jei niy przajes!

ERNEST:

Jo? Moi babie? A skónd wy wiycie?

HEBAMA *(bierze go za kołnierz i prowadzi na środek pokoju):*

Powiydz ino tak, coby wsyscy słyseli.

ERNEST *(do zaskoczonego, odskakującego od łóżka Baścika):*

Ale z ciebie kamrat!

BAŚCIK:

Chopie! My ci sa z Hebamom instrukcyjo wyrychtowali, cobyś wiedzioł, jak z babom godać! Instrukcyjo z pokazym, chopie!

ERNEST:

Jo ci dom instrukcyjo! Majstruje mi przi babie – wielgi instruktor abo cyganiony kamrat?

HEBAMA:

Dość chopy! Bo jak zaroz trzasna po pyskach, to ojle bydziecie mieli tyz z przodku.

GERTRUDA:

Jezderkusie! Hebamo, poratuj mie, niewinno kobiyta!

HEBAMA:

Niewinno kobiyta lo gupij woniacki i chopa z cystym kraglem zacyno gupoty wycyniać!

BAŚCIK:

Jesce sa co do cego niy przisło!

HEBAMA:

Jesce! Zamknij pysk, synek! Boł choby kurdupel we Francyje beztydzień i uz przi niedziele sie zrobioł wielgi, choby ta ich francusko lynga! A Die Ganze Monat!

HEBAMA:

Cicho być! Chto to widzioł, coby dziołcha po gyburcie tak wyszterować? I jesce diobła do chałpy napytać! Trzeja tu bydzie wykadzić i wyswiyncic!

(Dzieci płaczą)

BAŚCIK:

Nic uz niy powiym.

ERNEST:

Ani jo

Truda bierze dzieci na ręce.

HEBAMA:

Ty, Ynst, chciołześ coś swoji babie pedzieć, ja?

ERNEST:

Ja, wiys Truda, jaby ci to pedzieć…

GERTRUDA:

Jak? No po nosymu, Ynst!

ERNEST:

Ty wiys, zech niy boł lo ciebie w porzóndku?... Ale... Jo ci… Jo ci... przaja, Truda.

GERTRUDA:

Ty gupieloku, jo tyz ci przaja! Ale jak jo sie mogła takego gupieloka wziółć.

BAŚCIK:

Jo uz póda.

ERNEST:

Cekej… Baścik! My wos ścieli... Hebamo i Baściku prosić… Najpierw powiym, ize niy mom uz do wos zalu, choc w rzici mie poli jak jako flama… Bez to my wos scieli z Trudkom na potków prosić. Zgodzicie sie aby?

BAŚCIK:

Coby niy?

HEBAMA:

To grzych i niyscynscie w takij prośbie odmówić.

BAŚCIK:

Terozki uz diobła udawać niy byda. W tyj armie to ino w gowie bajzel robiom.

Bierze bliźniaki na ręce: „O bez przziroku, witom wos, kwiotecki! Rośnijcie w ty bożyj miłości, rodzicom ku wielkij radości!”.

Instytucja Kultury

KATOWICE

Miasto Ogrodów

www.miasto-ogrodow.eu

Egzemplarz bezpłatny

wydawcy:

Imago Public Relations

Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów

IMAGO PUBLIC RELATIONS

Instytucja Kultury KATOWICE Miasto Ogrodów

Patronat medialny

gazeta WYBORCZA

ISBN 978-83-63304-98-0